



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 15 (54)

NIEDZIELA 18 KWIETNIA 1943 R.

CENA 20 FLS

NASZA NAJGŁĘBSZA TROSKA

W Waszyngtonie rozpoczynają się krótko rozmowy sowiecko-amerykańskie. Tematem ich, oprócz zagadnień bieżących związanych z prowadzeniem wojny, będą sprawy dotyczące urzędzenia powojennego porządku świata. Wiemy już dzisiaj, że niemalą część programu rozmów wypełnią stosunki polsko-sowieckie.

Tak się złożyło, że pierwszym poważniejszym, ujawnionym nieporozumieniem pomiędzy sprzymierzonymi, pierwszą próbą jednolitości i siły ich frontu stał się zatarg między rządami polskim i sowieckim.

Zatarg ten rozwijał się i dojrzał równoległe na dwu odcinkach ściśle ze sobą związanych. Jednym z nich była sprawa granic pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim, drugim zagadnienie przynależności państwowej blisko dwumilionowej rzeszy obywateli polskich, których wydzierżawienia zapędziły na terytorium Związku Sowieckiego. Znaleźli się oni tam w 99% nie dobrowolnie, bądź wywiezieni z terenów polskich jako ludzie specjalnie z polskością i państwem polskim silnie związani, bądź aresztowani czy to za czynny opór wobec nowego porządku sowieckiego, czy też za negatywną postawę wobec tego porządku, wyrażającą się albo w chęci opuszczenia terenów pozostających pod władzą sowiecką, albo po prostu w odmowie przyjęcia paszportu sowieckiego.

Nie zgrzeszmy brakiem ścisłości, jeśli stwierdzimy, że ludzie ci w ogromnie przeważającej większości znaleźli się na ziemi sowieckiej w związku ze swym pozytywnym ustosunkowaniem się do polskiego, a opozycyjną postawą wobec sowieckiego władania ziemiami, które po kampanii polsko-niemieckiej zostały przez Sowietów w Polsce okupowane.

Traktat z 30 lipca 1941 roku ani nie kwestionował naszych granic, ani nie zawierał żadnych postanowień, które by dawały podstawę do przypuszczania, że Sowiety zamierzają poddać w wątpliwość obywatelstwo polskie ludzi z Polski, którzy znajdowali się na ich terytorium. Przeciwnie: w protokole do układu, rząd sowiecki zobowiązał się do udzielenia amnestii obywatelom polskim, którzy pozbawieni byli swobody na terytorium Związku Sowieckiego „bądź jako jeńcy wojenni, bądź na innych odpowiednich podstawach”.

Postanowienie to, zredagowane prawniczo niedość przejrzyście dało Sowietom temat dla niekorzystnych dla nas interpretacji. W jednym jednakowoż punkcie nie zawiera żadnych wątpliwości. Mianowicie odnośnie do objęcia polskiego obywatelstwa.

Przez to samo, że mówi się o polskich obywatelach nie określając bardziej szczegółowo, kto pod to pojęcie podpada, stwierdzonego zostaje fakt, sam przez się zresztą zrozumiały: obywatelem polskim jest ten, kto był nim w chwili wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. Nie może też być żadnej wątpliwości, że i strona sowiecka w ten sposób sprawę tę wówczas rozumiała. Gdyby zresztą chciała brać pod uwagę odmienną

interpretację albo stosować jakieś wyjątki, musiałaby to wyraźnie zaznaczyć.

Sprawy granic można było ostatecznie w układzie nie precyzować. Miała ona bowiem w chwili jego zawierania raczej teoretyczne znaczenie. Ziemie polskie były wówczas we władaniu Niemców i nikt w chwili podpisywania układu nie żywił wielkiej nadziei, że się ich stamtąd szybko wypędzi. Inaczej było ze sprawą obywatelstwa.

Przywrócenie wolności obywatelom polskim miało być pierwszym i najbardziej istotnym następstwem układu. Rząd sowiecki miał tu dokonać pewnych skonkretyzowanych aktów prawnych i chcąc stosować jakiekolwiek wyjątki musiałby określić, do kogo one będą stosowane.

Tymczasem nie podobnego nie było. Przeciwnie. Podobnie jak układ, tak i rozporządzenie amnestyjne wydane przez Prezydium Rady Naczelnej ZSRR mówi tylko ogólnie o polskich obywatelach nie zawierając przy tym żadnych postanowień, które by zwały pojęcie. W tym też kierunku poszła praktyka. Zwalniano o wiezień, „łagrow” i „posiołków” wszystkich, którzy posiadali obywatelstwo polskie we wrześniu 1939 r. „Wszystkich” to znaczy bez względu na narodowość, religię, miejsce urodzenia czy zamieszkania. Bo „wszystkich” w pojęciu całości pozbawionych wolności, niestety, nie oswobodzono. Wielu, aż nazbyt wielu nie mogło skorzystać dotychczas z postanowień amnestyjnych, ale nie dlatego, żeby kwestionowano ich obywatelstwo.

Zresztą i przed układem z 30 lipca 1941 r. nie usłowano ludziom pozbawionym wolności narzucać sowieckiego obywatelstwa. W niezliczonych formularzach, które sporządzano przy byle okazji, wpisywano zawsze w rubryce obywatelstwo — „niegdys polskie.” A jeśli się znalazł jakiś gorliwiec, który podawał — „sowieckoję graźdanstwo”, to spotykał się zawsze z szyderstwem i drwinami sowieckich organów.

Jeszcze przez długi czas po amnestii i rozpoczęciu formowania Armii Polskiej w ZSRR sprawa obywateli polskich nie powodowała żadnych zastrzeżeń ze strony władz sowieckich. Dopiero później, z biegiem czasu, gdy coraz wyraźniej się stawało, że w sprawie granic istnieje zasadnicze przeciwieństwo między poglądami obu państw, zaczęły na tym tle wyrastać trudności także w sprawie obywatelstwa.

Nabrały one konkretnych form z chwilą przeniesienia rejonów formowania armii polskiej na południe ZSRR i ogłoszenia poboru do tej armii. Władze sowieckie postawiły wówczas warunek, że do wojska polskiego mogą wstępować wszyscy obywatele polscy pochodzący z terenów, które po układzie niemiecko-sowieckim z września 1939 r. przypadły Niemcom, natomiast jeżeli chodzi o obywateli polskich pochodzących z terenów, które okupowały ZSRR, władze sowieckie przyznały do prawu tylko Polakom. Władze

polskie oczywiście nie uznały tego stanowiska władz sowieckich i powstał w ten sposób spór, który jednakowoż nie został załatwiony do chwili ewakuacji armii polskiej z ZSRR, z tym zaś momentem nastąpiło nowe zaostrenie sprawy.

Jak wiadomo, rząd sowiecki zgodził się wówczas, aby razem z wojskiem opuściła tereny ZSRR pewna, ściśle określona ilość ludności cywilnej, najbliższych rodzin wojskowych służących w armii polskiej w ZSRR. Na wypadek gdyby najbliższe rodziny nie wyczerpały kontyngentu, mógł on być uzupełniony przez dalszych krewnych żołnierzy, lecz tylko... polskiej narodowości.

Władze sowieckie stanęły wówczas otwarcie i twardo na stanowisku, że wszystkich, którzy w dniu 29. XI. 1939 r. tj. w chwili „formalnego włączenia” naszych terenów wschodnich do ZSRR tam się znajdowali, uważają za obywateli sowieckich. Wyjątek czynią dla osób narodowości polskiej, którym pozostawiają prawo zatrzymania obywatelstwa polskiego.

Władze polskie oczywiście znowu zaproteowały przeciw takiemu postawieniu sprawy, jednakże nie mogły przeszkodzić wielkim trudnościom, jakie powstały w ewakuacji osób cywilnych nie polskiej narodowości, nie podpadających pod kategorię najbliższych rodzin wojskowych.

Od tego czasu sytuacja uległa jeszcze dalszemu pogorszeniu. Rząd sowiecki zabronił działalności delegatury ambasady, które pomimo wszystkich zarzutów jakie im stawiano, stanowiły poważny czynnik pomocy dla ludności polskiej.

Następnie w okolicznościach, których my tutaj dokładnie nie znamy, rząd sowiecki oświadczył, że uważa za obywateli sowieckich już nie tylko tzw. mniejszości narodowe, ale w ogóle wszystkich obywateli polskich znajdujących się na terytorium ZSRR, z wyjątkiem tych, którzy udowodnią, że na tereny polskie, które we wrześniu 1939 r. dostały się pod władzę sowiecką, przybyli później niż 29 listopada 1939 r.

Sytuacja stała się wręcz dramatyczna. To już nie jest spór o takie lub inne postanowienia przyszłego traktatu pokojowego, co miałyby dzisiaj raczej teoretyczne znaczenie. To jest sprawa bytu lub niebytu wielu, wielu setek tysięcy naszych rodaków znajdujących się w ZSRR.

W okolicznościach, które obecnie powstały, traktat z lipca 1941 r. stał się właściwie fikcją. Celem i treścią tego traktatu było unieważnienie układu rozbiorowego sowiecko-niemieckiego i wrócenie wolności obywatelom polskim w ZSRR. Tymczasem cóż się dzieje? Sowiety w dalszym ciągu roszczą sobie pretensje do ziem, które nabyły w następstwie wrześniowego rozbioru Polski, a co gorsze dla nas praktycznie, nie tylko, że zatrzymują u siebie naszych obywateli, lecz w ogóle odmawiają im prawa do Polski, a Polsce prawa do nich.

Traktat z lipca 1941 r. stał się faktycznie nie z naszej winy mar-

nym kawałkiem papieru, okładką książki, z której treść brutalnie wydarto. Rozwiązanie tej sytuacji widzimy tylko jedno. Ewakuację z terenów ZSRR wszystkich, którzy chcą być nadal obywatelami polskimi, a którzy w myśl polskich ustaw praw do obywatelstwa polskiego nie utracili.

Wszystkich, bez różnicy narodowości, religii czy pochodzenia.

Wśród nas, żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie, wielu jest takich, którzy w Związku Sowieckim pozostawili swych najbliższych — żony, dzieci, rodziców, rodzeństwo. Odeszliśmy stamtąd spełniając swój obowiązek, by przygotować się do ostatecznej walki o wspólny, najświętszy cel. Zostawialiśmy naszych najdroższych w kraju, w którym tyle już przecierpień, z boleścią w sercu, ale w przekonaniu, że intencje sojuszników, jak nasze, są uczciwe. Ze ci, co zostają, nie będą mieli trudności innych nad te, które spowodowane są twardymi koniecznościami wojny. Że, gdy okoliczności na to pozwolą, rodziny nasze będą mogły pójść za nami, by gdzieś w oddali od działań wojennych czekać we względnie spokojnym i bezpiecznym miejscu, gdy naszym śladem wrócą do Ojczyzny.

Tymczasem dowiadujemy się, że naszym matkom, żonom, dzieciom i siostrom zabrania się być Polakami, że bracia nasi, którzy powinni przyjszć tu, by zasilili nasze szeregi, służąc mają pod obcym sztandarem.

Co powiedzieliby nasi towarzysze broni, żołnierze brytyjski czy amerykańscy, gdyby dowiedzieli się, że nie tylko kwestionuje się im prawo do ziem, z których pochodzą, lecz, że odbiera się ich najbliższymi możliwością wspólnego z nimi w przyszłości bytu, że zatrzymuje się ich siłą na obcej ziemi, że odbiera się im wbrew ich woli ich brytyjskie czy amerykańskie obywatelstwo.

I że czyni to nie tylko wróg lecz i sojusznik.

Jesteśmy przednią strażą narodów walczących o wolność świata, jesteśmy najwierniejszymi choć najbardziej doświadczonymi nieszczęściami ze wszystkich sojuszników, pragniemy szczerze oprzeć nasze stosunki ze Związkiem Sowieckim na podstawie wzajemnego zaufania i przyjaźni sąsiedzkich.

ALÉ ANI NASZEJ ZIEMI, ANI OBYWATELI NIE WYRZEKNIEMY SIĘ NIGDY.

WIERZYMY, ŻE SPRZYMIERZENCY NASI, WIELKA BRYTANIA I AMERYKA, KTORYCH SZLACHETNOŚCI I PRZYJAŹN ZNAMY, BĘDĄ RZECZNIKAMI TEJ NAJGŁĘBSZEJ NASZEJ TROSKI.

Zbigniew Raciecki

W ostatniej chwili dotarła do nas wieść o tragicznym losie Starobielczan i Kozielszczan. W następnym numerze „Orła Białego” zabierze głos w tej bolesnej sprawie rtm. Józef Czapski, b. jeńiec obozu w Starobielsku.

List do Redakcji

JAK ŚPIEWAĆ „WARSZAWIANKĘ”?

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie zwrócić się do Pana Redaktora z prośbą o pomieszczenie w swym tak poczytnym organie tych kilku słów, które mogą zainteresować miłośników „Warszawianki”.

Zdaje się, że wszyscy czytelnicy się zgiją, że „Warszawianka” jest najpiękniejszą, najbardziej porywającą polską pieśnią wojskową. Treść jej tak głęboko odpowiada aspiracjom narodowym każdego Polaka, że — gdyby nie przywiązanie, które wszyscy odzujemy do „Jeszcze Polska nie zginęła” — można by się zastanawiać, czy nie należałoby jej podnieść do rzędu naszych oficjalnych hymnów narodowych, przynajmniej w tej samej mierze co „Boże coś Polskę” i „Rutę”. Okoliczność, że autorem „Warszawianki” był Francuz — Casimir Delavigne i że została ona na język polski przetłumaczona już po powstaniu listopadowym przez Karola Sienkiewicza, jednę z najlepszych naszych autorów emigracyjnych, w niczym nie jest w stanie oziębnić naszych uczuć w stosunku do niej. Wręcz odwrotnie, należy się cieszyć, że sprawa polska w epoce powstania listopadowego była do tego stopnia związana z prawdami o znaczeniu uniwersalnym, że stała się natchnieniem do wybitnych dzieł sztuki w językach obcych. Przypominamy, że znana pieśń „Tysiąc Walecznych”, poświęcona 4 pułkowi piechoty w 1831 roku, napisana została przez Niemca w języku niemieckim. Moglibyśmy się tylko cieszyć, gdyby dziś tego rodzaju objawy należały do świata rzeczywistych, a nie naszych marzeń i pożądań.

„Warszawianka” ma za sobą piękną przeszłość historyczną. Jak wiadomo, przez pewien czas stała się ona niejako oficjalnym hymnem naszej patriotycznej lewicy, aż do chwili, kiedy wyparły ją „Czerwony Sztandar” względnie „O cześć wam, panowie, magnaci”, zresztą czerpiąc także swą tematykę z powstania listopadowego.

Niejako konsekrację ze strony literatury otrzymała „Warszawianka” ze strony Stanisława Wyspiańskiego, a do dziejów naszej kultury w ogóle przeszła przez wspaniałą interpretację roli starego grenadierów w „Warszawiance” przez Solskiego. Zresztą Wyspiański niesłusznie każe śpiewać tę pieśń uczestnikom powstania listopadowego, gdyż została ona przetłumaczona na język polski dopiero o wiele później. Jest to jednak „licentia poetica” zawsze dopuszczalna w sztuce dramatycznej.

Wojna obecna przyniosła nowy rozkwit nieśmiertelnej pieśni. Miała ona szalenie powodzenie — sit venia verbo — w zburzonej Warszawie. Po przemówieniach prez. Starzyńskiego, radio grało stale tę melodię w Warszawie. Nadawano ją po ostatniej jego mowie, ale została przerwana w pośrodku... Niemcy przez długi okres czasu, tzn. przez przeszło pół roku nie mogli się zorientować, czym jest melodia „Warszawianki”. To też na ulicach zburzonego miasta — jak opowiadają nauce świadkowie — była ona ciągle grywana przez niezliczone wówczas wędrowne orkiestry. Jeden z tych świadków opowiadał mi, jak pewnego razu oficer nie-

miecki chciał zapłacić jednemu z ulicznych śpiewaków grających „Warszawiankę” i jak ten mu z dumą odrzucił jego pieniądź.

To też tekst tej pieśni musi nam być równie drogi, jak najmniejsze teksty Mickiewicza czy też Słowackiego. Z wielką przykrością należy skonstatować, że nieodpowiedzialni ludzie tekst ten wypaczają, przeinaczają i czynią go bezsensownym.

Pierwsze dwie zwrotki „Warszawianki” tzn. te, które są normalnie śpiewane, brzmią jak następuje:

„Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskreszenia był.
W tęczę Franków Orzeł Biały
Patrząc, lot swój w niebo wzbil.
Słońcem lipca podniecany
Wola do nas z górnych stron,
Powstań Polsko, skrusz kajdany,
Dziś Twój triumf albo skon.

Hej kto Polak na bagnety!
Żyj swoboda, Polsko żyj.
Takim hasłem cnej podniety
Trąbko nasza wrogom grzmij
Trąbko nasza wrogom grzmij.

Grzmijcie bębny, rzyccie działa,
Dalej bracia w gęsty szyk.
Wiedzie hufce Wolność, Chwała.
Triumf błyska w ostrzu pik.

Leć nasz Orle w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ.
Kto przeżyje wolnym będzie,
Kto umiera wolnym już.

Hej kto Polak itd.

Zwrot „w tęczę Franków Orzeł Biały patrząc lot swój w niebo wzbil” odnosi się do nadziei, które Polacy pokładali we Francji w czasie powstania listopadowego. Tęcza odnosi się do flagi francuskiej, jak wiadomo ułebiesko-biało-czerwonej. „Słońcem lipca podniecany” odnosi się do rewolucji lipcowej 27—29 lipca 1830 roku, która podnieciła zapalę wolnościowców w Europie i stała się jedną z głównych przyczyn wybuchu powstania listopadowego — obok kampanii 1809 i 1920 roku niewątpliwie najpiękniejszej karty nowoczesnej Polski.

Jak powiedzieliśmy wyżej, zupełnie nieodpowiedzialni ludzie, nacjonalisci z Psiej Wólki i Pacanowa, przeinaczają tekst tej porywającej pieśni i śpiewają ją jak następuje:

Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskreszenia był.
W słońce Polski Orzeł Biały
Patrząc lot swój w niebo wzbil.
Tą nadzieją podniecany
Wola do nas z górnych stron etc.

Zmiana ta jest niestosowna z trzech względów. Przede wszystkim nowy tekst jest niedorzeczny. Po drugie zasadniczo nie wolno nam zmieniać i aktualizować tekstów poetyckich przeszłości. Po trzecie ze względów polityczno-sentymentalnych taka zmiana w chwili obecnej jest nie na czasie. Rozpatrzmy kolejno te trzy względów.

Zmiana tekstu jest niedorzeczna, gdyż Orzeł Biały nie mógł patrzeć się w słońce Polski. Patrzenie się w słońce — jeżeli nie posiada czarnych okularów, których orły notorycznie nie noszą — jest wysoce szkodliwe i oślepiające. Nie jeden złośliwy opozycjonista mógłby w tym dopatrywać się chęci naigrania się z polityki naszego rządu w ciągu ostatnich lat, co byłoby niewątpliwie wysoce niestosowne.

Zwrot „tą nadzieją podniecany wola do nas z górnych stron” jest jeszcze bardziej niedorzeczny. Nie wiadomo bowiem jaką nadzieją. Po-

przedni tekst bowiem żadnej wzmianki o jakiejkolwiek nadziei nie zawiera.

Czy można jednak zmieniać i aktualizować teksty poetyckie? Naszym zdaniem, oczywiście, nie. Najwyżej można zmieniać pisownię słów i dostosowywać tę pisownię do zwyczajów i przepisów każdego pokolenia. Samych słów zmieniać nie wolno. Gdybyśmy chcieli je aktualizować, musieliśmybyśmy zmieniać je ciągle, gdyż aktualność jest zmienna. W tym wypadku lepiej byłoby napisać już coś zupełnie nowego.

Dostosowywanie pieśni czy poezji do teraźniejszości prowadzi do takich potworności jak śpiewanie zamiast „Marsz marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej”, „Marsz, marsz Sikorski z ziemi szkockiej do polskiej”. Leż szaj już jest znana w Coetquidan piosenka „Pójdziem do Berlina, powiesim Hitlera s...syna”, którą śpiewali ci, którzy mieli później najprzedziej uciekać nie pod Berlinem ale pod Angers i pod Bordeaux.

Jeżeli chcemy zmieniać, to do zmian nadaje się raczej jedna z następujących — nawiasem mówiąc — najpiękniejszych zwrotek „Warszawianki”, która brzmi jak następuje:

O Francuzi czyż bez ceny
Dla was nasze rany są?
Z pod Marengo, Wagram, Jeny,
Lipska, Drezna, Waterloo?

Proponujemy, aby zwrotkę tę śpiewać w następującej redakcji:

O Anglicy czyż bez ceny,
Dla was nasze rany są?
Z pod Tobruku, Bardii, Dery,
Rezegh, Sollum i Glasgow?

Wprawdzie pod Derna i pod Glasgow Polacy nigdy nie walczyli, ale to nic nie szkodzi, gdyż nie walczyli także pod Marengo i pod Jeną. To co piszemy nie ma oczywiście na celu podważania jaknajściślejszej współpracy polsko-brytyjskiej, która musi być dla każdego przytomnego człowieka podstawowym nakazem chwili, ale wykazanie naocznie do jakich rezultatów prowadzi chęć aktualizowania literatury.

Każda epoka winna wytwarzać poezje i pieśni odpowiadające społeczności. Mamy między sobą wspólnego poetę Władysława Broniewskiego — mamy doskonałą pieśń Hemara „Karpacka Brygada”, możemy oczekiwać dalszej twórczości oryginalnej. Jeśli chcemy śpiewać pieśni przeszłości, musimy je przyjąć takie, jak nam je przeszłość przekazała, nie zaś przystosowywać je do własnego przemijającego widzi mi się.

Wreszcie względem ostatni. W roku 1925 Klub Myśliwski w Warszawie uroczysto wykreślił z listy członka honorowego — wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Aczkolwiek ten ostatni był potomkiem dynastii, która z wielu powodów nie jest nam zbyt sympatyczna, to jednak niektórzy oburzyli się, że człowieka, którego się honorowało, kiedy był wielki i potężny, wyrzuca się kiedy jest ubogi i na wygnaniu. Mutatis mutandis nasuwa się pytanie czy obecna chwila jest odpowiednia, aby zacieierać ślady dawnej przyjaźni.

Francja odegrała tak obrzydliwą rolę w dziejach nowoczesnej Polski — i to w najpiękniejszej stronie tych dziejów bo w naszej historii wojskowej — żadne wykreślenie i przeinaczanie tego nie zmieni i nie przekreśli. Musielibyśmy sięgać świętokradką ręką do „Pana Tadeusza” i wy-

kreślić zdanie Robaka do Sędziego, które każdy z nas czyta ze wzruszeniem — a raczej czytałby ze wzruszeniem, gdyby Ministerstwo Propagandy zdecydowało się wydać „Pana Tadeusza” — „Z Napoleonem idzie nasze wojsko całe, nasz Józef, nasz Dąbrowski — nasze Orły białe”.

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Kiedy w roku 1870 pod Sedanem armia francuska dostała się do niewoli wraz z cesarzem Napoleonem III, sejm stanął w czeski uchwałił adres sympatii i współczucia dla Francji. Głównym — któremu w ówczesnych warunkach istotnie nie można nie zarzucić — stał się podstawa późniejszej propagandy czeskiej we Francji. Nie chodzi tu jednak o względy utilitarne. Chwila, w której Francja znajduje się na dnie upadku, nie nadaje się do barbarzyńskiego zacieraania śladów dawnej przyjaźni polsko-francuskiej. Francja przechodziła podobne chwile w okresie bitwy pod Rossbachem i po Sedanie. Niezależnie od jej przyszłej siły, nie uważamy, aby chwila obecna nadawała się do przeprowadzenia takiej zmiany.

Śpiewajmy więc „Warszawiankę” tak, jak śpiewali ją nasi przodkowie, nie zaś tak jak chcą ludzie, którzyby chcieli udowodnić, że Polska nie nikomu nie zawdzięcza i nie miała nic wspólnego z prawdami, które niegdyś przebiegały przez Europę. Jest to patriotyzm źle umieszony.

Adolf Bocheński

Redakcja podziela postawę Autora wobec rozpowszechnionego przeinaczania tekstu „Warszawianki”. Sądzimy, że wystarczającym uzasadnieniem tej postawy jest słuszny pogląd, iż „zasadniczo nie wolno nam zmieniać i aktualizować tekstów poetyckich przeszłości”. Zwiastem, skoro oryginalny tekst Delavigne’a jest piękny i historycznie uzasadniony.

Wydaje nam się natomiast, że p. Bocheński zbyt surowo potraktował nieznanymi nam autorów z znaną Kierowała nimi rozumiała reakcja przeciw opieraniu się w ideologii politycznej siły zewnętrzne, reakcja zdrowa, tylko prymitywnie wyrażona. Ponadto dalsze przesłanki zasadniczego sądu wydają nam się i zbędne i niezbyt przekonujące.

Patrzenie „w słońce Polski” jest ostatecznie również zrozumiałym symbolem, jak patrzenie „w gwiazdę Fraknow” i naprawdę argument okulistyczny nie wypada tu przekonywać. Co zaś do nadziei, to słydziliśmy ten tekst śpiewany nie „tą nadzieją podniecany”, co nie ma sensu, ale „A nadzieją podniecany”, co niedorzecznością nie jest.

Najważniejsza wszakże niezgodność poglądów dotyczy przesłanki ideowo-politycznej Zarzut p. Bocheńskiego nie może się naszym zdaniem ostać choćby dlatego, że omawiane zmiany tekstu „Warszawianki” były dokonane nie po upadku Francji, ale w okresie jej wielkiej potęgi, co najmniej pozornej. Powtóre, kurtuazja Autora posuwa się w przyszłość z w. ks. Mikołajem chyba zbyt daleko. Być może, byłoby lepiej, gdyby w okresie niewoli starczyło wszystkim odwagi ewylnę na unikanie zawieszania w lokalu klubowym portretów zaborców, ale skoro stało się inaczej, to można się tylko dziwić, w jaki sposób ow portret dotrwał do 1925 r., byłoby bowiem naturalne, gdyby zniknął o wiele wcześniej.

M. C.

„W WARSZAWIE PANUJE PORZĄDEK...”

Podajemy dalszy ciąg wspomnień osoby przybyłej przed kilku miesiącami z Warszawy. Początek wspomnień w numerze poprzednim.

NA ULICY

Pogodny, letni dzień. Przechodnie idący Belwederską mieli nielada widok. Dwie młode paniaki stały zwrócone twarzami do muru, tyłem do ulicy i przez 15 minut powtarzały na cały głos: „To był niemiecki samolot, tu nigdy nie ukaże się obcy samolot”. Za nimi stał Niemiec w mundurze z zegarkiem w ręku i kontrolował czas. Okazało się, że paniaki te zobaczyły bardzo wysoko lecący samolot. Zadarły więc głowy i jedna drugiej pokazywała go palcem. Przy czym młoda fachowczyni w sprawach lotniczych utrzymywała, że Niemcy nie mają samolotów tak wysoko latających. Stąd prosty wniosek, że jest to obcy samolot, na pewno angielski. Zobaczył i nłszywał to krzyż z przystanku kolejki wilanowskiej „Selbstschutz”. Taką karę wymyślił. Też metoda „wychowawcza”.

W TRAMWAJU

W tramwaju straszny tłok. Wsiada młody człowiek z dwiema dużymi paczkami w rękach. Ledwie się wcisnął do środka, stanął przy drzwiach. Przystanek, ludzie wsiadają i wysiadają, pchają się. Ktoś zawadza silnie o jedną z paczek i rozdziera ją. Wysypuje się cała masa gazetek. Spojrzała to cała publiczność jadąca na platformie. Nie znają się nawzajem, nie wiedzą kto jest między nimi. A za czytanie i przechowywanie gazetek, a nawet za niezawiadomienie władzy w razie posiadania jakiegokolwiek wiadomości na ten temat — kara śmierci. Kilku tylko ludzi wyskoczyło z tramwaju. Reszta zasłania rozsypane gazetki, pomaga je zbierać. Ktoś zdumionemu chłopcu sprzedającym akurat gazety wręczył zwitek banknotów biorąc w zamian całą „gazdinową” prasę. Wspólnymi siłami zrobiono nową porządkową paczkę. Tylko twarze ludzi były poważne, może bardziej blade niż normalnie. Na następnym przystanku pomogli młodemu kolporterowi wysiąść ostrożnie z paczkami. Ktoś na „pożegnanie” powiedział: „Niech Bóg prowadzi”.

„ŁAPANKA”

Godzina 5.30 rano. Na ulicy strzały, krzyki. Matka wstaje szybko z łóżka i wygląda przez okno. Obława Pełno samochołów i policji. Budzi syna: „łapanka”, ubieraj się. Za chwilę służąca przynosi wiadomości. Cała ulica obstawiona. Kto wyjdzie, tego łapią i pakują do samochołów. Kilkaścianie patroli chodzi i przeprowadza rewizje we wszystkich domach. Szukają od piwno do strychów. Biorą ze sobą wszystkich mężczyzn. Ciekawo kilku ludzi — strzelili ich, jednemu tylko się udało. Są już w sąsiednim domu. Będą tu 10 minut.

Matce przychodzi do głowy pomyślność. „Kładz się — mówi do syna — będziesz udawał umarłego”. Łóżko szybko poprawia. Rozlała w pokoju trochę jakichś lekarstw. Zapaliła świecę. Syn położył się do łóżka. W ręce wziął święty obrazek. Stychać już kroki idącej policji. Dzwonek, służąca otwiera drzwi. Pytają, czy jest jakiś mężczyzna w mieszkaniu. Z płacem odpowiada, że tak. Wchodzi do przedpokoju, potem otwierają drzwi do pokoju. Zastali płaczącą kobietę kłęczącą przy zwłokach

młodego mężczyzny. W pokoju zapach lekarstw. Zasalutowali i wyszli.

Matka i syn długo jeszcze nastęchali, zanim obława się skończyła. A jednak wszystkich nie wzięli...

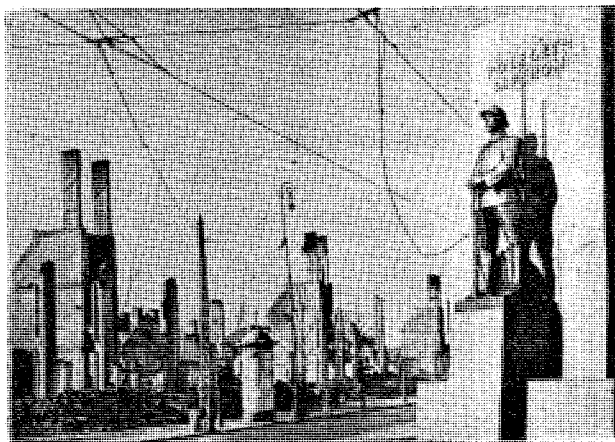
DZIECINNY PIERŚCIONEK

Kolejka podmiejska. Do wagonu wchodzi oficer w starszym wieku. Staje przy oknie, jakaś oabinka z pustymi bankkami od mleka podnosi się z ławki i ustępuje miejsce. Podziękował, usiadł. Naprzeciwko siedzi kobieta z córeczką 6-8 letnią. Dziecko z przerażeniem przypatruje się Niemcowi. On nśmiecha się do niej. Nagle dziewczynce coś się przypomniało. Spojrzała na pierścionek na swej ręce, potem na matkę. Na twarzy dziecka odbiło się przerażenie. Ukradkiem, niezdarne, tak że to wszyscy widzą, zaczyna zdymować z palca ów pierścionek, dziecinny pierścionek z blaszki ze szkieleciem. Niemiec przypatruje się jej z rosnącym zaciekawieniem. Dziew-

Napięcie doszło do niesłychanego wprost stopnia. Wreszcie rewolwer wyszedł całkowicie z pochwy. Chłopiec zapina teraz pustą już pochwę, drugą zaś ręką chwycił rewolwer za koszulę. Niemiec jakby coś poczuł, dotyka ręką pochwy i omal się te dwie obce dłonie nie zetknęły. W tramwaju jednak był taki tłok, zresztą ludzie akurat zaczęli się cisnąć do wyjścia, dość, że niczego nie zauważył. Tramwaj stanął. Najpierw chłopiec, potem Niemcy wysiedli. Chłopiec poszukał spojrzeniem swych cichych współników kradzieży, podziękował swym jasnym, promiennym wzrokiem. Usta pani szeptały modlitwę. Jeden z mężczyzn pogroził nieznacznie palcem. W groźbie tej jednak więcej było dumy niż nagany. Młody „złodziej” oddalił się szybko.

REWIZJA

Był jednym z tych, o których kroniki policyjne mówią: nigdzie nie meldowany. Zmienił mieszkanie i naz-



Pomnik Saperów

czynka zdjęła wreszcie pierścionek i szybkim ruchem wrzuciła go za dekolot na pierś. Uspokoila się, widać egrońną ulgę w jej twarzy i zachowaniu. Oficer za to zaczyna się robić coraz bardziej czerwoną, mało krew nie tryśnie mu z twarzy. Wstaje i nie patrząc na nikogo, z głową spuszczoną, wychodzi. Poszedł pewnie do przedziału „Nur für Deutsche”. Babinka z bankami wróciła na swoje miejsce.

MŁODY „ZŁODZIEJ”

Tramwaj przepelniony do ostatnich granic możliwości. Na platformie tak ciasno, że oddychać wprost trudno. Widać, że i w niemieckiej części musi być tłok, gdyż dwóch żołnierzy wsiadło do części odwołnej. Obok jednego z Niemców stoi chłopiec, może 17-letni. Wlepił wzrok w wielką pochwę od pistoletu przy boku żołnierza. Chwila wahania i decyduje się: zbliża rękę do pochwy, delikatnie odgina pochwę, zaczyna wyciągając rewolwer pomaleńku, ostrożnie. Jakaś pani i dwaj mężczyźni obok stojący przypatrują się temu. Zaparli oddychać. Przeszkodzić nie mogą, bo żołnierz się spostrzeże i złapie chłopca. Kobieta błagalnie spuszczała wstęgał twarz chłopca. On wykonał nieznaczny przeczący ruch głową. Nie przeskadzajcie mi, ja muszę — mówił jego wzrok.

wisko dużo częściej niż rękawiczki. Ostatnio nocował u swego brata. Po intensywnie przeżywanym dniach wstał dość późno. Dnia tego wstał wcześniej, razem z bratem. Po 2 godzinach wraca do domu, aby zjeść śniadanie. Przerazoni dozorca, z którym był w znowie, zawiadamia go, że miał szczęście wychodząc tak wcześniej; 10 minut temu skończyła się rewizja. Szybko idzie do mieszkania. Spotyka na schodach gospodarza domu, swego przyjaciela. Dowiaduje się od niego szczegółów. Byli w mieszkaniu, przeczuli wszystkie książki, przeglądali szafy. Zainteresowały ich dwie pary długich butów i to różnej wielkości — czy tu nie mieszka kto nie meldowany. Zadowolili się jakąś wkrętą odpowiedzią. Teraz wchodzi obydwoj do mieszkania. Na kanapie, w tym samym miejscu, co i przed 2 godzinami, leży książka. Widać zdaleka rozchylone czymś kartki. Czymś? — gaetka, oczywiście tajna, czytana poprzednio dnia wieczorem. Była to jedna jedyna nie przeglądana przez nich książka w mieszkaniu.

Ten dzień, to był pierwszy piątek w miesiącu — dlatego tak wcześniej wstał.

Takim mniej więcej życiem żyje Warszawa. W takiej atmosferze rodzą się teraz, żyją i umierają ludzie. Ta-

kie jest ich życie codzienne. Przyzwyczaili się do tego, ale nie pogodzili się z tym.

Rzecz prosta, że sceny, fotografie z życia Warszawy, podane powyżej, nie dają wyobrażenia o całokształcie życia, nie poruszają wszystkich i go dziedzin. Ale też dać go nie mogą. O głodzie i chłodzie, o nędzy i biedzie Warszawy wiemy — tyle o tym napisano. Umyslnie starałem się dać tu obraz mniej znanego ogółowi, a jakże charakterystycznego dla Warszawy jej pikantnego — że użyję tego wyrażenia — specyficznego życia.

Na przykład wiemy, że tyłu i tyłu aresztowano, taka a taka ilość Żydów umarła w getto. Mało kto natomiast wie, że nie wolno w Warszawie używać słowa „getto”, tylko „dzielnica żydowska”, a początkowo nazywano się to „obszar zagrożony tyfusem”.

Mało kto wie, że w W.C. na Placu Trzech Krzyży każdy wchodzący tam czyta wykaligrafowany wiersz:

„Na Hitlera czolo dumne,
Hindenburga srebrną trumnę,
Na wszystkich Niemców w świecie
Ale nie na deskę przecie...”

Zdziwi może kogoś, że na Placu Napoleona, co parę kroków rozlega się szept: „Setki, setki, setki kupuje”. Cóż to znaczy? To znaczy, że są ludzie, którzy do dnia dzisiejszego kupują nie mające obecnie obiegu, wycofane, dawne nasze banknoty po 100 zł. Cena ich się waha, przeciętnie 10 do 20 zł obecnych, czyli tzw „młynarek” za setkę. Był podobno okres, kiedy płacono za nie, zdaje się w Krakowie, po 60-80 obecnych złotych.

Zaciekawi może kogoś, że jeden mój znajomy, „czarnogieldziarz” obecnie, przez ci-kawość notował numery banknotów dolarowych, którymi handlował. Okazało się, że w ciągu 6 miesięcy zdaje się 5 razy ten sam banknot 20-dolarowy przeszedł przez jego ręce, 5 razy na nim zarobił.

Użyłem na początku odnośnie Warszawy określenia „sobieradzka”. Wydaje mi się, że jest to szczęśliwe słowo, oddające istotny stan rzeczy. To radzenie sobie nie ma jednak nic wspólnego z oportunizmem, nie jest to pójście po linii najmniejszego oporu. Wprost przeciwnie: każde przekroczenie prawa, każde oszukanie władzy uchodzi za swego rodzaju cnotę narodową. W ogóle życie zmusiło Warszawę i kraj cały do przystosowania się do warunków obecnych. Naturalnie, każdy stara się według swych możliwości jak najmniej rezygnować ze swego dawnego życia na rzecz tego przystosowania. Obawiam się jednak, że niezmiernie mało jest, o ile w ogóle są tacy szczęśliwcy, osób, których życie obecnie podobne byłoby do życia dawnego, przedwojennego, normalnego.

Oczywiście, że wszystko to musiało wywołać ogromne zmiany w psychice ludności. I wywołało. Zmiany te są bardzo głębokie i istotne. Najczęściej w sensie dodatnim: są one w ogromnej większości pozytywne. Kraj z tego, co przeżył — wyciągnął wnioski. Inaczej żyje patrzy na wiele rzeczy, inną wobec nich zajmuje postawę, z mnożstwą zagadnień zdał sobie sprawę, inaczej reaguje na przejawy życia we wszystkich jego dziedzinach. Zmieniła się psychika, zmieniła się mentalność.

Trzeba ogromnie dużo pracy, dobrej woli, rozumu i samozaparcia z naszej strony tutaj, aby do tych zmian dorosnąć, aby po powrocie do Kraju znaleźć z nim wspólny język.

Przemówienie Prezydenta Raczkiewicza w City londyńskiej



LONDYN, 9. IV. — Lord Major City londyńskiej wydał wczoraj przyjęcie na cześć p. Prez. Raczkiewicza, premiera gen. Sikorskiego i członków rządu R. P.

Na przyjęciu ze strony brytyjskiej wzięło udział około 100 osób z ministrami: Edenem, Alexandrem, Lyttonem i Cadoganem na czele.

Prezydent Raczkiewicz wygłosił długie przemówienie, w którym mówił o duchu wolności, przenikającym dzieje Polski i Wielkiej Brytanii.

W odpowiedzi Lord Major podkreślił konieczność zacieśnienia węzłów współpracy zjednoczonych narodów jako podstawy przyszłej budowy powojennego świata.

Uchwała Rady Narodowej

W sprawie obywateli polskich w Rosji

LONDYN, 8. IV. (PAT). — Rada Narodowa na posiedzeniu dnia 5 bm. uchwalila następującą rezolucję:

„Rada Narodowa R. P. wyraża swoje głębokie ubolewanie z powodu stracenia przez władze ZSRR obywateli Rzeczypospolitej Polskiej Henryka Erlicha i Wiktora Altera, wybitnych działaczy robotniczych i przywódców żydowskich socjalistów w Polsce, członków naczelnych władz światowych organizacji ruchu robotniczego. Rada Narodowa R. P. nie daje wiary ogłoszonym motywom

tego aktu. Henryk Erlich i Wiktor Alter byli wiernymi synami Rzeczypospolitej Polskiej i w ciągu swej długoletniej działalności politycznej byli zawsze w nieugiętej walce z hitleryzmem.

„Urzędowe ogłoszenie o straceniu tych dwóch obywateli polskich wywołuje w społeczeństwie polskim głębokie zaniepokojenie o los tych tysięcy obywateli polskich, wywiezionych w głąb Rosji, co do których władze sowieckie nie udzieliły dotychczas wystarczających wyjaśnień.”

PRZYKŁAD GODNY

NAŚLADOWANIA

Plutonowy Wiktor Bortniczek w rocznicę swego powtórnego wstąpienia do wojska złożył wszystkie swoje oszczędności w sumie 10 dinarów na pomoc dla jeńców.

Z okazji imienin por. Józefa Rynkiewicza szeregowi jednego z oddziałów artylerii złożyli kwotę 14 dinarów 850 filarów na jeńców wojennych.

Możnaby ograniczyć się tylko do wydrukowania tych ofiar w tym przekonaniu, że są dostatecznie wymowne. Ale właśnie tak się złożyło, że otrzymaliśmy listę z nazwiskami proszących o pomoc jeńców wojennych w obozach niemieckich. Lista jest stosunkowo niewielka. Zawiera 691 nazwisko.

Czytelnicy „Orla Białego”! Prośba tych 691 osób musi być spełniona. Nie możemy, my, najbardziej z wszystkich żołnierzy polskich uprzywilejowani, nie dopomóc naszym braciom, którzy w niewoli niemieckiej cierpią głód i są obdarci.

Jedna paczka kosztuje jednego dinara. Do przesyłki wolno dołączyć kartkę z imieniem i nazwiskiem ofiarodawcy. Potrzeba na to, by ulżyć ludziom głodnym, tylko 691 dinarów. W tym wypadku naprawdę cel do osiągnięcia jest zupełnie łatwy.

Redakcja „Orla Białego” jest pewna, że w najbliższym czasie wszyscy proszący jeńcy wojenni otrzymają paczki. Otwieramy listę składek. Pieniądze można nadsyłać do Redakcji „Orla”, bądź wpłacać do Biura Pomocy Rodzinom Wojskowym i Jeńcom Wojennym, które nazwiska ofiarodawców prześle do ogłoszenia w „Orle”.

Na indywidualne paczki dla jeńców wojennych:

- M. C. 3 dinary
- rtm. Czapski 2 dinary
- J. S. 1 dinar
- Zb. Racięski 1 dinar.



W pokoju dowódcy dyonu mieszczącym się w przybudowce hangaru, można znaleźć stojące na obszernej szafie bardzo ciekawe przedmioty. Każdy z nich ma swoją historię, która z pewnością zainteresuje goszczącego w dywizjonie przyjaciela „303”. Jest to jakby małe muzeum dywizjonu. Warto posłuchać objaśnień starego Kościuszkowca.

Każdy zwróci uwagę w pierwszym rzędzie na ogromny kawał blachy pomalowanej na kolor stalowy z hitlerowską swastyką. Jest to część sterów ogonowych z niemieckiego Junkersa 88, który wraz z innym został zestrzelony dnia 3. VII. 42. Do tych dwóch „Ju” należały kie-

ska ich wryte są na bokach pudełka z pik. M. C. Cooper i Faunteroy na czele.

Puchar jest nagrodą zdobyta przez „303” w zawodach strzelniczych Grupy Myśliwskiej, w których to dyon osiągnął wspaniałe wyniki i przynosiące zwycięstwo nad innymi squadronami.

Płyty — to już nie dar żadnego miłośnika muzyki — ale płyty nagrane przez pilotów dyonu dla radia. Są tam przemówienia do Kraju, opowiadania lotnicze, płyty dla Ameryki, a nawet po angielsku dla brytyjskich programów radiowych. Jest ich przeszło 25.

Piękny model Spitfire'a jest dziełem rąk mechaników dyonu.

Dyon „303” dba, aby jego walki nie poszły w zapomnienie, aby nie przetrzymała bez echa ani jedna se-



dyś jeszcze inne akcesoria, a więc karabin maszynowy z amunicją, wiósko składane z łódki ratowniczej, oraz may-westka, czyli rodzaj kurtki, która napełniona tlenem pozwala utrzymać się na wodzie.

Obok may-westki strzep spadochronu, pokryty na całej swej powierzchni podpisanymi personalu „303” i stacji, z której operował „303” w czasie Battle of Britain. Należał on kiedyś do pilota „Me 110”, którego zestrzelił F.

Poniżej plakietka kół angielskich i polskiej szachownicy ma też swą historię — oprawiona jest bowiem w kawał kabla wysokiego napięcia, który przywiózł na swym samolocie por. Ł. z ataku na lotnisko niemieckie, wiosną 1941 roku.

Rozipty w rogu orzeł powiewał dawniej jako bandera na „Sobieskim”, nim został podarowany dywizjonowi przez jednego z członków załogi.

Uśmiech wzbudza damski pantofelek stojący na srebrnym pudełku, kolidujący z innymi bojowymi pamiątkami. Oba te dary pochodzą od Matki dywizjonu. We wnętrzu pantofla można odczytać serdeczne słowa życzeń „best of luck”.

Drugie srebrne pudełko cieszy się bodajże największym szacunkiem. Ofiarowane zostało przez byłych pilotów Eskadry Kościuszkowskiej z lat 1919—1921, Amerykanów. Nazwi-

ria km, czy działek, aby nie poszła na marne ani jedna kropla przelanej krwi. Dzieje walk spisane są w sześciu tomach „Pamiętników pilota”. Gdy utworzymy dwa albumy fotograficzne, w jednym z nich zobaczymy podobizny wszystkich pilotów dyonu; w drugim albumie znajdują się zdjęcia tych co odeszli. Pod każdą fotografią widnieje liczba zestrzelonych samolotów, tak często składająca się z dwóch cyfr oraz kolory odznaczeń — Virtnti Militari, Krzyża Walecznych, D. F. C. lub D. F. M.

Wielka historia pisana w słowach prostych!

Dwa plakaty „Roll of Honour”, namalowane są przez żonę angielskiego oficera oświatowego, wielkiego przyjaciela Polski i Polaków.

Tyle o pamiątkach, które tworzą muzeum dywizjonu „303”. Trudno jednak nie wspomnieć o przeciwnym ścianie, na której wokół dużego portretu Tadeusza Kościuszki widnieje szereg fotografii. Twarze młode, roześmiane, poważne... Niektóre fotografie mają małą czarną przepaskę w rogu. To ci, którzy zginęli na pewno, których nazwiska ogłoszono: „killed in action”. Inne bez opasek, to fotografie tych, o których komunikat głosi, że są „missing” czyli zaginionci.

Tak wygląda „muzeum” dywizjonu „303”. Muzeum to jest małe — ale promier tuje wielkością.

Zbigniew Nar.

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX
DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

Z WROGAMI POLSKI WALCZYĆ BĘDZIEMY WYTRWAŁE DO OSTATNIEGO TCHU, DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI W ŻYLACH NASZYCH.



Jak droga jest nam cała Polska, tak są w niej miasta nad wszystkie inne umiłowane przez dzieci swe od wieków tu rodzone, przez kochanków najwierniejszych, którzy jedynie w nich widzą swój dom, a przez szacowne mury, kościoły i pamiętki, przez nastrój ulicy najlepiej czują — Ojczyznę.

Każde z tych miast ma swoje dzieci i swoich wielbicieli ślepych na inne cuda. Ale jedno jest tylko miasto, tak jednak przez wszystkich kochane i w miłości tej wszystkich łączące — Lwówiaków, Poznaniaków i Wilnian. Ślązaków i Warszawiaków, miasto jak podłotek, młode i zalotne, miasto bez przeszłości i tradycji, nie tylko najmłodsze i z polskich najbardziej polskie, ale także najbardziej — amerykańskie.

Gdynia — o niej tu mówimy — jest z morzem równie silnie związana, jak z odrodzoną państwowością polską, z pracą równie jak z uśmiechem.

Ze wsi rybackiej wyrosła w dolinie aż od Wejherowa idącej, na torfowiskach i piaskach żelazem i betonem wsparta — Gdynia nie ma tradycji, ani zabytków. I mieć nie może. Ale właśnie dlatego tym chętniej i pilniej szukało się tutaj związania z odległą i niedawną, choćby najświeższą przeszłością.

Nie było to łatwe. Trzeba było sięgać do przylądka oksywyjskiego, gdzie na płaskiej kępie patrzy w morze kościółek stary, wystawiony jeszcze przez książąt pomorskich, tam gdzie na cmentarzu, najpiękniejszym chyba w Polsce, zawieszonym nad zatoką, snem wiecznym śpi Abraham, twarde Koszuba, co w Paryżu pięścią w stół uderzał żądając Kaszub dla Polski i Polski dla Kaszub, i gdzie leży Orlicz Dreszer, generał co Lidze Morskiej i Kolonialnej przewodził i zginał tu w morzu. Tradycja Gdyni są jeszcze pobliskie Kolibki, wieś nadmorska ongiś króla Jana Sobieskiego, w której tak przebywać lubiła jego Marysięna.

Ale to jeszcze nie wszystko. Bo tak się w Gdyni dziwnie splata tradycja wieków z najświeższymi „zabytkami” lat niedawnych, czy ostatnich nawet miesięcy. Gdynianie prowadzali więc przyszyków pod ostatnią chatupkę kaszubską z niedawnej wsi pozostałą i pod lipę muzealną w środku jezdni zachowaną, a wreszcie wskazywali z dumą na skrawek pola w trójkącie między dworcem i ulicami 10 Lutego i Świętojańska, gdzie jeszcze żyto szumiło — tuż u szerokiego gmachu poczty i wysokiego bloku „Pagedu”.

Jeśli już mowa o takich „zabytkach”, to trudno nie wspomnieć o „Ładwidzie” i „Wandzie”, stateczkach, które setki tysięcy pierwotnych szczerów łądowych oswajały z morzem na wycieczkowych „rejsach” do Jastarni i Helu. Kariera i dobre imię tych stateczków blady w miarę, jak przybył im większy i okazalszy „Gdańsk”, jak pod dworzec morski zawijały transoceaniczne już motorowice: „Piłsudski”, „Batory” czy „Sobieski”.

Gdynia jest nawet nie młoda, jest — młodziutka. Przecież dopiero trzynastacie lat samorządu miejskiego, za ledwie ukończono port i rozwinięto

organizację pierwszego handlu morskiego Polski, a już za ciasno zrobiło się miastu w dolinie między dwoma kępami oksywyjską i redłowką.

Nie wystarczy już za ciasny dworzec kolejowy, już i wielki port trzeba było rozszerzać, choć obracał 9 milionów tona rocznie, gdy kiedyś przewidywano tylko 2,5 miliona: „kiedyś” to jest za króla Cwiczecka, a w istocie za ledwie przed kilku lub kilkunastu laty. Bo czas biegnął, płynął prędzej, niż gdzieś indziej i robota również, i plany, ba: nawet święty Biurokracy zamieniał się w szybkobiegacza. Jeszcze w śródziemnin świeciły góliny, obsadzone ziemniakami czy żytem, a już miasto rozsiało się na Kamiennej Górze, zajęło kępę Oksywi i białymi domkami przedzierało się ku kępie Redłowskiej, która stromym 91. metrowym urwiskiem panuje nad zatoką i wabi pierwotnym lasem i rzadkimi

energicznych i niemal zawsze z uśmiechem na twarzy, nie odstupającym i tych starszych wiekiem, a młodych postawą i duchem? Ludność Gdyni była największą w odrodzonej Polsce mieszaniną ze wszystkich okolic, ludnością napływową, której jednak coraz więcej przybywało młodego, już w wielkiej Gdyni zrodzonego pokolenia. Gdyniska metryka chrztu uchodziła za nieładną rekomendację, liczne też były Polki, które zwłaszcza z Gdańska przyjeżdżały do Gdyni, aby najmłodszemu miastu przysporzyć nowych obywateli. Wojna i niemiecka akcja wysiedleńcza zburzyły okrzepłą już strukturę ludnościową Gdyni, która powojnie zaludni się znowu nowymi żywiołami. Ale wrócić i dawni Gdynianie rodowici — ci z zasiedzenia i ci z urodzenia. I znow jak przedtem uśmiech powróci w białe miasto nad morzem. I znow powszechny będzie ów tak typowy dla Gdyni, liczykr-

wający, potem zawistny naprzemian i podziwiający sąsiad był tak bliski a równocześnie taki daleki: zbliżony pracą portów jednego zaplecza wbrew wszelkim oporom — oddalany polityką Berlina, dławiącego ujście Wisły — wbrew prawom życia i nakazom rozsądku. A jednak stary Gdańsk stał pod urokiem młodej Gdyni. Młody patrycjat nadmottawskiego miasta i hitleryzmem przetrząty a partyjnym godnościami nobilitowany stan mieszczanski chętnie jeździł do Gdyni, aby dobrze żyć i podjąć, w kinie zobaczyć coś swobodniejszego, a może i antyhitlerowskiego. Aby wreszcie — choć mimo woli — zachłystnąć się wiatrem od morza, ganiającym szerokimi ulicami, wiatrem, który dla nich był wiatrem swobody, nie mieszczańskim się w wąskich uliczkach Gdańska.

Uśmiechem jaśniała Gdynia obok zgaszonego Gdańka — Gdynia — miasto, którego melodią jest nie wielogłos starych dzwonów kościelnych, lecz halas dźwięgów, huk ładowanej rudy, ryk syren okrętowych, a wieczorem żalostny pojęk pływających boi; to miasto, którego nastrój nie muzea stwarzają, a horyzont bez miary i wielka przyroda.

Ta Gdynia pragnęła tradycji i chętnie tworzyła sobie zabytki — jakże młode — i pielegnowała pamiętki — jakże świeże. Teraz już je ma: tradycję najpiękniejszą i pamiętki najdroższe.

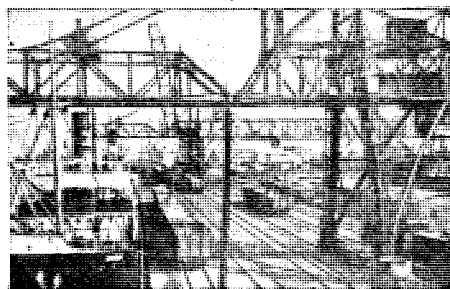
Wszakże to tutaj nad morzem, na najmniejszym skrawku granicznym Rzeczypospolitej najdłużej trwała zbrojna Polska — w Gdyni, w mieście i na Oksywiu, potem na Helu. Ze zburzonego przez Niemców kościółka w Kolibkach, z postrzelanego i zniszczonego cmentarza na Oksywin został się jeden pomnik na miarę obelzma: ta stroma kępa przylądka oksywyjskiego, zroszona krwią żołnierza polskiego, który walczą tu do ostatniego ładunku, krwią dowódcy pułkownika Dąbka, który śmierć nad niewolę przetożył.

Przecież to w Gdyni Niemcy zrabali dwa krzyże opiekunki, z Kamiennej Góry i ulicy świętojańskiej, których szczątki wybrane zostały i jako relikwie złożone będą w tej samej Gdyni — kiedyś uroczyste, pewnego dnia już po wojnie.

Przecież to w Gdyni bohaterko się bronila i sala za salą zdobywana być musiała szkoła marynarki wojennej. Na wodach Gdyni pierwszy chrzest bojowy spotkał naszą flotę wojenną. Przecież to z tej tak młodej Gdyni do Anglii wypłynęły nasze torpedowce i łodzie podwodne, walczące do dzisiaj na równi z brytyjską, najlepszą flotą świata. I Gdynia, jej praca i rozpęd, jej nastrój była szkołą tej młodej marynarki polskiej, tak świetnej — nad spodziewania swoich i obcych, wbrew tyłu wiekom i tyłu oporom.

Uśmiechem Gdynia jaśniała. Gdy więc po wojnie za Helu ujrzymy znów Gdynię, na rechę wpłynięmy może ze łzami w oczach, ale na pewno i z uśmiechem dumy z tego miasta tak młodego wiekiem i duszą, a już dojrzałego — tradycją walki i ofiarą krwi.

Tadeusz Pniowski



Dźwigi portowe w Gdyni

w Polsce roślinami. Wielkie wreszcie bloki pomieszczone z willami pną się tuż za dworcem w lesiste wzgórza serpentynami ulic „górskich”, więc Tatrzzańskie, Zakopiańskie i innych. Wielka Gdynia zagarnęła także Orłowo bukami i morzem szumiące, sięgając zachłannie ku Kolibkom i gdańskiej granicy, zabierała Rede, Rumie i Zagórze, a w niedziele, święta i urlopy rościła sobie również pretensje do kasy Helu, bielejącej na horyzoncie.

Gdynia jest młoda i zalotna. Jest zalotna wesolą białością i świeżością swych domów i gmachów, i zmieniająca się tęczą Bałtyku, bijącego o białe nabrzeża różnokolorową pianą, jest zalotna uśmiechem, która nie schożąc z oblicza jej mieszkańców odmienną także przybyszów i stwarzała nastrój, nadawał ton.

Uśmiech Gdyni płynął z morza i z krańców portu nad miasto się dźwigał; ten uśmiech był częścią pracy tak twórczej i szybkiej, która po raz pierwszy w dziejach Polski tutaj zaczęta, na oczach naszych potężniała nad podziw swoich i obcych.

Wspomnijcie Wasz przyjazd do Gdyni, pierwszy i ostatni, właśnie teraz, na obcych ziemiach i piaskach.

Czy widziacie jeszcze dzisiaj te szerokie jasne ulice i te uderzającą na każdym kroku przewagę ludzi młodych i zdrowych, opalonych, ludzi

pa”, liczący nowopowstałe domy, baseny i stątki, sprawdzający ilość dźwigów — ten patriota portowy i wyznawca morza, który dodaje tonny, odkrywa rekordy obrotów gdynskich i oblicza, gdzie jeszcze i ile trzeba będzie wybudować.

Bo w ogóle w tym mieście ludzi tak różnych ale zawsze energicznych i przedsiębiorczych, ale zawsze miłujących morze i wielki otwarty horyzont, było czymś kompromitującym nie znać pewnych rzeczy: więc nie orientować się w zagadnieniu portowym, nie znać podstawowych cyfr obrotu, a już — broń Boże! nie różniczkować okrętu od statku i floty wojenną pomylić z handlową. W mieście, którego obraz był nie do pomyślenia bez marynarza i przyjeźdnego gburą — Kaszuby i bez letnika, w ostatnich latach nie wystarczyło już zachwycać się barwaniami morza. Trzeba było kochać wielkie składy portowe i magazyny wolnocłowe, chłodnie i wędzarnie, na spaceru trzeba już było chodzić do portu.

Mówili o tym robotnicy, nad tym debatowano u Fangrata i w Mocce, w obu kawiarniach gdynskich wyjadaczy. To stanowiło także przedmiot dumy Polonii gdańskiej, dla której sąsiednia Gdynia była radością, wycieńczeniem i podniętą do przetrwania ponurego ucisku brunatnej obrazy. Gdańsk, ten początkowo prześmie-

NA NARTACH W GÓRACH KURDYSTANU POSZUKIWANIA

Marzenia i rozmowy o śniegu i nartach w okresie pobytu na piaskach Egiptu i wśród zamartwych gór Palestyny były egzotyczną rzadkością. Żar niesiony przez hamsin niszczył w zarodku każdą myśl o dawnej zimie karpackiej, której piękno głęboko nam zapadło w umysł i serce. Ważniejsze zagadnienia od wspomnień i tęsknoty za tą dawną polską zimą, która kiedyś nas przyjmie, wysuwały się na pierwszy plan.

W zimie 1941/42 dowiedzieliśmy się z „Parade”, z dłuższego artykułu, ilustrowanego nartarskimi zdjęciami, że w górach Syrii uczyły się jazdy na nartach dwa australijskie oddziały instruktorami byli znani sportowcy francuscy. Wielu z naszych żołnierzy dziwiło się, na co będzie potrzebna jazda na nartach Australijczykom. Lecz o dziwo, bo i u nas zaczęto nieśmiało wspominać ubiegłej jesieni o szkoleniu w górach i na nartach.

W pierwszej połowie lutego rozkaz z rozdzielnikiem przerzaca blisko dwie setki młodych żołnierzy aż nad granicę perską. Najciekawsze odcinki drogi przejeżdżaliśmy nocą w samochodach. Wspaniały i groźny dla niedoświadczonego kierowcy, wawóz Ruwandis wywarł duże wrażenie.

Pomimo ograniczonej widoczności w nocy, przełom dużej rzeki wzbudził podziw ludzi nie przywykłych do widoku surowego piękna gór Kurdystanu. Po przybyciu do granicznej miejscowości Rayat, rozbiłiśmy wielkie namioty w sąsiedztwie wioski. Zwężona dotąd dolina rzeki rozszerzała się w tym miejscu. Dookoła piętrzyły się wysokie grzbiety i szczyty górskie, przechodzące w duże siodło w kierunku granicy perskiej. Przez to siodło przebiegała najdalej na północ wysunięta górską drogą z Iraku do Persji. Miejscowe władze irackie przyjeły nas z życzliwą gościnnością.

Po prowizorycznym zakwaterowaniu, nikt nie czekał na oficjalne rozpoczęcie kursu nartarskiego. Wokół ogniska dopasowano narty, aby jak najprędzej znaleźć się na śniegu. Żołnierze, jak pracowite mrówki, pełzali po otaczających zboczach Ci, którzy przybyli z Rosji ze wspomnieniem przejmującego zimna, nie cieszyli się tak bardzo na widok śniegu, jak koledzy z pustyni egipskiej, dla których kolosalne górskie, okryte śniegiem były miłą lecz zapomnianą przeszłością. Nieorganizowany szal nartarski przeciągał się do późnego wieczora. Ciężki, mokry i zbity śnieg wiosenny pochłaniał siły zapaleńców. Mimo to każdy wracał z uśmiechem zadowolenia. Duży wysiłek fizyczny na wysokości przekraczającej 2000 m, bez poprzedniego zaaklimatyzowania, pociągał szybko przywiezioną z dolin energię — obserwując ten szal nartarski trudno było wyłowić tego dnia lepszych nartarzy. Natomiast można było stwierdzić więcej entuzjazmu, aniżeli istotnych umiejętności nartarskich. Kilku bez nart, grzejąc w dużym śniegu dotarło do najwyższego grzbieta. W ślad za nimi przeszła tą samą drogą jakaś para na deskach. Kto kocha góry, nie usiedzi spokojnie w dolinie, lecz będzie się pisał ku szczytom. Wśród uczestników dwutygodniowego kursu nartarskiego znalazło się niewiele ludzi z gór i nartarzy, mimo że rozpowszechnione jest przekonanie o możliwości sfornowania kilku pododdziałów z samych tylko górali i nartarzy. Stwierdzenie w najbliższej okolicy

chorób zakaźnych, przyniesionych z Persji zmusiło kierownictwo kursu do przeniesienia obozu poniżej wsi Durban. Suchy teren tuż nad potokiem i piękne otoczenie górskie poprawiły samopoczucie uczestników po kwatrowaniu w błocie, które dochodziło do kostek na starym miejscu postoju. Wszyscy uczestnicy zostali podzieleni na dwa zgrupowania, ćwiczące na zmianę w różnych miejscach.

Góry Kurdystanu przypominają swym wyglądem wschodnią, beżesłą część Karpat; w pewnych odcinkach podobne są do Tatr. Fragmenty zaś przełomu Ruwandis budzą wspomnienia o przełomie Dunajca w Pieninach Szczyt dochodzące do 12.000 stóp, powiązane są spokojnymi w konturach grzbietami lub poszarpanymi górami, tworząc koliste lub półkoliste kompleksy zamykające kotliny lub obramowujące doliny. Duża rzeka górską biorąc swój początek na granicy perskiej jest obficie zasilana strumieniami i większymi potokami, spływającymi z wielu kotłów i dolin, opadających do głównej doliny. Rzeka wraz z dopływami, choć zawałona otoczkami różnej wielkości i głazami, choć natrafia w swym biegu na wielkie zapory, nie traci swej żywiołowej siły spadku.



Kurd

Pieni się huczy, komponując najpiękniejsze melodie dzikich gór Kurdystanu. Główna rzeka, natrafiając na ściany skalne, których zmoc nie może, przechodzi w spokojniejsze tonie o barwie czystej, delikatnej zieleni, przypominającej Morskice Oko lub Czarny Staw pod Kościelcem. W rzekach jest obfitość ryb, przypominających nasze pstragi. Rwaćca rzeka, zbierająca wspaniałe siklawy i dzikie potoki, przebiega się wśród ścian przez wiele dziesiątków kilometrów, dając nieokreśloną skalę piękna górskiej przyrody.

Z biegiem jej złączona jest droga, która od czasu do czasu przerzaca się poprzez żelazne mosty z jednego zbocza na drugie. Góry Kurdystanu z rzadka tylko porośnię są karłowatym dębem, który z uporem pnie się ku najwyższemu szczytom. Dąb karłowaty utrzymuje się na wysokościach przekraczających 9000 stóp, gdzie zwyczajnie odpiera ataki mroźnych zamieci.

Ze szczytów rozpościera się piękne widoki na rozległe pasma górskie,

na wielkie i pustą przejmujące kotły i pełne gwaru potoki. Tuż za przełazką graniczną ukazują się rozległa dolina perska, zamknięta od północnego wschodu długim łańcuchem górskim. Góry Kurdystanu mogą być rajem dla narciarzy. Długie, odkryte zbocza, interesujące doliny dają dużą skalę różnorodności i trudności. Zimą w górach Kurdystanu ma wiele podobieństw do zimy w Karpatach; zaczyna się dość wcześnie, bo już w listopadzie i trwa do marca. W wyższych partiach północnych śnieg utrzymuje się dłużej. Wiele szczytów, chociaż są pokaźne, pozostaje bez nazwy.

W górach rozrzucone są wioski typowych górali, Kurdów. Wioski liczące po kilkadziesiąt chat, przytulone romantycznie do mniejszych lub więcej stromych, południowych zboczy, są zazwyczaj dość wysoko położone nad potokiem, stacjami są warte po skałach w ciasnej dolinie.

Domki, stawiane z gliny, schodami, jeden tuż nad drugim, tworzą zwarty kompleks. Wszystkie dachy są płaskie i również z gliny, z małym otworem na komini w środku. Na każdym domku dostrzec można walec do ubijania dachu. Domki dwu a nawet trzyzbowe urządzone są dość schludnie. W głównej izbie mieszkalnej jest po środku piec żelazny, w kącie dwie skrzynie, ozdobione prymitywnymi wzorkami, pod oknem błyszczą w czystości utrzymany samowar, na dwóch półkach pod sufitem zebrane są kolorowe talerze i ozdobniejsze naczynia kuchenne. Iżba jest zaślana do połowy dywanem i kolorowymi poduszkami. Na dywan wchodzi się po zdjęciu obuwia. Na ścianie wisi zazwyczaj jeden lub kilka dobrze zakonserwowanych karabinów. Mniej osiedli spotkać można na dnie dolin, natomiast większość pnie się w ślad za karłowatym dębem ku szczytom. Np. wieś Sacri Sacra znajduje się na wysokości 7000 stóp.

Przyroda i klimat górski kształtują niewyróżniający się wzrostem, ale zwarty i krępy, kipiący zdrowiem, typ górala, którego spaloną słońcem i zahartowaną wichrami twarz, nie zdradza żadnej słabości i czułości. Surowo i śmiało patrzące oczy są wyrazem odwagi i stanowczości. Ubiór Kurda dostosowany jest do życia w górach. Gruba koszula ozdobiona kolorowym deseniem, krótkie i szerokie spodnie, spięte pod kolanami, szeroki pas, za którym tkwi nieodłączny krzywy nóż, zwany „handzer”, welniane pończochy, pantofle ze skóry. Czarno biały wzór na pończochach przypomina do złudzenia wyroby nartarskie Skandynawii. Kurd kocha broń. Wydaje się, że każdy posiada jeden lub więcej karabinów różnego typu i pochodzenia.

Kurdowie nie mają w sobie śladu służalczości, nieznaną jest u nich „bakszys”. Przybysz czuje się wśród nich dobrze i bezpiecznie, jeśli zachowuje się szczerze i życzliwie, umiejąc uszanować ich zwyczaje.

Ciekawe, że znajdują się tam sady owocowe, winnice, pola, na których uprawiany jest tytoń. Bardzo wysoko jest dużo wielkich tarasów, na których udaje się kilka gatunków zboża. Kurdowie trudnią się przeważnie pasterstwem. Wśród Kurdów nie wyczuwa się biedy.

Do Polaków odnosił się we wszystkich przypadkach bardzo przyjaźnie, zdradzając zainteresowanie dla naszego kraju i dla naszych spraw.

Wił Żytkiewicz

203. Łasoń Władysław (P. F. P. 610) — matki Franciszki, braci Tadeusza i Stanisława oraz Dobrostańskiej Janiny z dwojgiem dziećmi. Ostatnio byli w Samarkandzie.

204. Wojdyto Tadeusz (P. F. P. 552) — Wojdyto Stanisława z Przemysła.

205. Kuroczycki Kazimierz (P.F.P. 217) — żony Ireny z Lesieckiej, która w 1939 r. przebywała w więzieniu w Grodnie.

206. Feliks Kalita (P. F. P. 551) — prosi wszystkich, którzy wiedzą coś o rodzinie jego brata Jana Kality, st. sierż., zamieszkałego przed wojną w Równem, o przesłanie wiadomości pod wskazanym wyżej adresem. Poszukiwana rodzina składała się: z żony Marii, córki — Marii, Janiny i Zofii, synów — Henryka i Romana.

207. Pade Stanisław (P. F. P. 58) — poszukuje Szmagera Karola i Pilawy Zdzisława. Ten ostatni został wywieziony z Grodna w m. listopadzie 1939 r. i do grudnia 1940 r. przebywał w Kirowie.

208. Szewczyk Jan — żony Luby oraz córki Jadwigi i Janiny, wywiezionych do pawłodarskiej obl. w kwietniu 1940 r.

209. Ostaszewski Stanisław (P. F. P. 475) — Świerczewskiej Jadwigi, wywiezionej z Przemysła w głąb Rosji.

210. Golba Waclaw — syna Kazimierza Waclawa, skazanego i wywiezionego do Rosji w 1940 r.

211. Nowicki Tadeusz (Londyn) — brata Kazimierza, 1924 r., zamieszkałego ostatnio w Drohobyczu.

212. Daszkiewicz Jan (P. F. P. 595) — znajomych z okolic Lidy oraz kolegów polejantów z woj. łódzkiej.

213. Drobikowa Anna (P. C. K. Teheran) — Drobika Jana, syna Ignacego, aresztowanego i wywiezionego do Rosji z Kotomyji.

214. Leśniewicz Józef — żony Eufemii oraz synów Bogumiła i Edwarda.

215. Szeszuła Ignacy — żony Marii, córki Ireny i syna Jana.

216. Ptak Ludwik — szwagra Bronisława Skaczyłło z Biskowic k. Sambora.

217. Maciejewski Stanisław — brata Bronisława.

218. Żytko Bolesław (P. F. P. 551) — Żytko Antoniny i Kościuszki Zbigniewa z Brzeźcia.

219. Dąbrowska Zofia (P. F. M. E. 222) — ojca Karola, lat 54, aresztowanego we Lwowie.

220. Jazwiński Mieczysław — brata Kazimierza, internowanego na Węgrzech oraz sierżanta Burjana Antoniego.

221. Pelc Julian (P. F. P. 317) — ojca Andrzeja, matki Anny z Kuźniarów, siostry Stanisława, wywiezionych z pow. łańcuckiego do Rosji. Ostatnio w Nowosybirsku.

222. Kmiecik Adam (P. F. P. 317) — brata Jerzego Kazimierza lat 20. Ostatnio jakoby przebywał w Taszkencie.

223. Leżanowski Mieczysław — brata Józefa. Był internowany na Węgrzech.

224. Raś Czesław — brata Waclawa.

224. Jabłoński Zbigniew — ojca Antoniego, st. wachmistra.

225. Kowalewski Dominik — s. s. Bonifacego, który w marcu r. z. wyjechał z Kernine.

226. Węglowski Hilary (P. F. P. 115) — żony Stefani i syna Romana. Byli w pawłodarskiej obl. Majsk.

227. Józef Ciochoń (P. F. M. E. 117) — brata Karola z Łazów Zaolziańskich.

TYGODNIOWY PRZEGLĄD WYDARZEŃ

VIII ARMIA BRYTYJSKA w Tunisie prze naprzód idąc od zwycięstwa do zwycięstwa. W dniu 6 kwietnia forsowała ona następcę z kolei po linii Maretha umocnienia „osi” wzdłuż Wadi Akarit, obrzucając poprzednio stanowiska nieprzyjaciela potężnym ogniem z 500 dział. Po złamaniu tego oporu VIII armia zajęła w dniu 10 kwietnia port tunijski Sfax, a w dniu 12 kwietnia obsadziła Sousse, odległy o 120 km od Sfaxu. Jednocześnie na środkowym odcinku frontu, na zachód od Sousse, wojska amerykańskie zajęły miasto Pichon i świętą miejscowość Kairouan. Rommel wycofuje się na gorzyste tereny na północ od Sousse. Na odcinku północnym wszakże, na zachód od Bizerty I armia brytyjska ruszyła również do natarcia wypierając wroga z ważnych stanowisk.

Mamy zatem w Tunisie do czynienia z generalną ofensywą. Dowódca VIII armii, gen. Montgomery zwrócił się do swych wojsk z rozkazem, w którym pisał: „Naprzód na Tunis. Zepchnijcie wroga do morza. Urządźcie mi pierwszorzędną Dunkterkę na wybrzeżach Tunisu!”. Ze swej strony radio berlińskie zwróciło się do żołnierzy niemieckich w Afryce z następującym wezwaniem: „Macie do wyboru śmierć albo niewole. Nie ma innej drogi przed wami. Nie ma dla was powrotu z Afryki”. Istotnie, ewakuacja wojsk „osi” na odległą o 240 km Sycylię nie będzie łatwa.

Wszystko wskazuje na to, że Niemcy bronić się będą do upadłego. Chcąc uniknąć „Dunkierki” myślą może o utrzymaniu się w Bizercie, której wyznaczają rolę niemieckiego „Tobruku”. Gorzyste okolice Bizerty, otoczone jeziorami, nadają się do obrony. Rommel wciąż jeszcze nie został rozbity. Nie stawia dziś niemal oporu, lecz wymyka się z kocią zrzęcałością z każdej opresji pozostawiając sojusznikom przeważnie jeńców włoskich (dotychczas od chwili wzięcia linii Maretha — 24000). Wyrażym zadaniem Rommla jest przedłużanie oporu. Można jednak zastanawiać się, czy taktyka ta wobec trudności odwrotu na Sycylię nie okaże się zbyt kosztowna.

Sytuacja w Afryce i nieprzerwana ofensywa lotnictwa sprzymierzonych na państwa „osi” na tereny przez nie okupowane (bombardowano ostatnio m. in. Brest, Antwerpę, Kilonie, Neapol, Palermo, Trapani, Koblencę, Essen, Duisburg) odwraca uwagę od walk w Rosji, gdzie trwa stabilizacja. Nad Dońcem, na odcinku Izjum, Niemcy ponawiają wciąż bezskuteczne natarcia. Na Kubaniu stroną nacierającą są wojska sowieckie.

„The Iraq Times” słusznie zauważył, że nawiązanie łączności między wojskami amerykańskimi i brytyjskimi w Tunisie posiada dziś znacznie większą wagę, niż narady Mussoliniego z Hitlerem, którzy spotkali się w otoczeniu licznej świty, by poprzysiąc sobie chęć „prowadzenia wojny przez totalną mobilizację wszystkich swoich sił aż do ostatecznego zwycięstwa”. Nie tak jeszcze dawno rozmowy obu dyktatorów elektryzowały opinię świata, albowiem były zapowiedzią doniosłych zaszczwaj wydarzeń. Dziś, gdy „os” straciła na zachodzie inicjatywę i skazana jest na prowadzenie walk obronnych, mało kto zwraca uwagę

na rozmowy obu wodzów. Wyniki ich narad nie zdołają bowiem już zmienić ogólnego rozwoju wypadków na zachodzie.

ZWYCIĘSTWA SPRZYMIERZONYCH W AFRYCE oraz ofensywa lotnicza na Niemcy i Włochy sprawiły, że po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny alianci stali się czynnikami narzucającym „osi” określone zadania strategiczne, zmuszając ją choćby do rozszerzenia i pogłębienia obrony rozległych brzegów Europy. „Os” straciła wolną rękę na zachodzie. Musi dostosować swoje posunięcia do woli sojuszników, musi liczyć się coraz bardziej z ich wzrastającymi możliwościami ofensywnymi.

Sytuacja ta wystawia zwłaszcza Włochy na zbliżające się niebezpieczeństwo. Coraz prawdopodobniej brzmia wiadomości o ewakuacji ludności cywilnej z Sycylii, Sardynii, południowych Włoch, o planowanym przez rząd włoski opuszczeniu Rzymu, o coraz trudniejszym położeniu miast włoskich. Genua, Mediolan i Neapol ucierpiały już poważnie wskutek wszczętej lekkomyślnie przez Mussoliniego wojny z mocarstwami anglosaskimi.

W tej sytuacji wszystkie nadzieje Niemców wiążą się z rozdźwiękami, które powstały z wiadomych powodów w obozie sprzymierzonych. Berlin z największą radością wykorzystuje wszelkie fakty do starżarcia mu przez propagandę sowiecką, by obłudnie występować w obronie narodów europejskich przed niebezpieczeństwem bolszewickim. Ostatnio Niemcy zajęli się zwłaszcza „obroną” trzech państw bałtyckich. Ze szczególną uwagą uwaga Berlin śledzi nadal rozwój wydarzeń na odcinku polsko-sowieckim, a również jugosłowiańsko-sowieckim, bo i tu niestety nie wszystko jest w porządku.

BOIIATERSKI KRÓL JUGOSŁAWII PIOTR II, którego dzielna postawa w roku 1941 wzbudziła podziw całego świata, zwrócił się w drugą rocznicę przystąpienia Jugosławii do wojny z przemówieniem do swego narodu. W mowie tej król oświadczył, że jeżeli sojusznicy wyładują na Bałkanach, cały naród jugosłowiański powstanie, a wojska sprzymierzone znajdując tam ciągle armii gen. Michajłowicza się gotową do współdziałania z sojusznikami. Lecz pomyślny ten obraz mać fakt, ujawniony po raz pierwszy publicznie przez króla. Oto „niestety — według słów monarchy — w niektórych miejscach Jugosławii powstały tarcia między indywidualnie walczącymi jednostkami jugosłowiańskimi”. Król wyrażał nadzieję, że wszystkie te jednostki skupią się przy legalnym rządzie jugosłowiańskim, którego gen. Michajłowicz jest członkiem.

Z rozprawy w Izbie Gmin z przed paru tygodni i z ówczesnego oświadczenia min. Edena dowiedzieliśmy się, że w celu usunięcia tarć między różnymi oddziałami walczącymi w Jugosławii z „osią” prowadzone są rozmowy z... rządem sowieckim. Okazało się bowiem, że niektóre komunistyczne grupy partyzantów w Jugosławii nie tylko nie podporządkowują się gen. Michajłowiczowi, uchodzącemu słusznie za bohatera narodowego, ale prowadzą z nim walkę

oskarżając go ni mniej ni więcej tylko o... skłonności quislingowskie. Gen. Michajłowicz musi zatem przeciwstawiać się nie tylko wojskom „osi”, ale i partyzantce powołującej się na Moskwę. Absurdalna ta sytuacja — wprowadzająca niebezpieczną atmosferę na Bałkany — wymaga likwidacji w interesie sprzymierzonych. Sądymy, że gen. Michajłowicz opamięta w końcu położenie, a wojska jego, prowadzące nieustraszoną walkę z „osią” będą mogły udzielić pełnej pomocy ewentualnej ofensywie sojuszników na Bałkany, która uwolni Jugosławię od okupacji i od wszelkich intruzów.

MOWA GEN. SIKORSKIEGO wygłoszona w Londynie w City Livery Club wobec czolowych przedstawicieli świata brytyjskiego, wzbudziła żywe zainteresowanie m. in. w Turcji. W pół oficjalnym dzienniku tureckim „Ulus” ukazał się artykuł posła do parlamentu Ataya, który powołał się zwłaszcza na następujący fragment mowy Naczelnego Wodza:

„Z tym większą przeto mocą muszę stwierdzić, że jeżeli by w chwili zakończenia wojny nasze święte prawa nie były uznane, a nasze przywiązanie do wolności nie było brane pod należytą uwagę, wszyscy Polacy bez względu na pochodzenie, religię, przekonania przeciwstawiają się niesprawiedliwym żądaniom godzącym w suwerenność i integralność ich państwa, niezależnie od kogo by one wychodziły.”

Posel Atay stwierdził, że słowa te opierają się na „naturalnym prawie każdego państwa do obrony własnego bezpieczeństwa przeciw każdej obcej interwencji czy hegemonii”. Turcja podobnie jak inne państwa Europy środkowej i południowej nie raz już wypowiedziała się przeciw hegemonii jakiegokolwiek mocarstwa w Europie środkowej Dłatego śledzi ona bardzo uważnie dyskusję, rozwijającą się na temat praw i obowiązków poszczególnych narodów w przyszłej Europie.

MIN. EDEN PO SWEJ PODRÓŻY DO Stanów Zjednoczonych i Kanady złożył sprawozdanie w Izbie Gmin. Mowa jego utrzymana była w tonie ogólnym. Minister oświadczył, że jego narady z politykami amerykańskimi dotyczyły spraw operacyjnych, nie naderają się do publicznej dyskusji oraz współpracy politycznej po wojnie i w „związku z aktualnymi operacjami wojskowymi, które toczyły się lub będą się toczyły”. Przykładowo min. Eden wskazał na uzgodnione stanowisko Anglii i Ameryki, co się tyczy „przyszłej polityki wobec Francji”.

W tej dziedzinie zaszedł fakt nowy. Oto gen. Eisenhower zwrócił się do gen. de Gaulle'a, by ze względu na rozwijające się działania w Tunisie wstrzymał zapowiadany swój przyjazd do Algieru. Odwołanie podróży

gen. de Gaulle'a wywołało zrozumiałe poruszenie, lecz premier Churchill oznajmił, iż nastąpiło ono w porozumieniu z rządem brytyjskim.

Min. Eden mówił dalej o uzgodnieniu polityki Anglii i Ameryki wobec Turcji, Hiszpanii, Portugalii. „Co się tyczy krajów okupowanych — zaznaczył minister — my i Ameryka mamy tylko jedną politykę, czynić wszystko, co w naszej mocy, aby w jak naj szybszym czasie przywrócić im pełną wolność.”

Najbardziej może charakterystyczną stroną przemówienia min. Edena były jego uwagi poświęcone stosunkom angielsko-amerykańskim. Wynikało by z tego, że sprawy te były głównym tematem rozmów brytyjskiego ministra spraw zagranicznych w Waszyngtonie. Stwierdził on, że stosunki angielsko-amerykańskie po wojnie winny oprzeć się przede wszystkim na „wspólnym interesie utrzymania pokoju świata i nie dopuszczenia do powtórzenia się co 20 lat katastrofalnych zatargów”. W tym celu winna powstać „władza, która siłą uniemożliwi powtórny agresję Niemiec, Włoch czy Japonii”. Zdaniem min. Edena, zainteresowane rządy powinny już dziś rozpocząć pewne przygotowania tak, by być zupełnie gotowymi, gdy nadejdzie chwila zwycięstwa. Rozmowy min. Edena stanowiły wstęp do tych przygotowań. Będą one prowadzone nadal. Przypomniéć tu należy, że prezydent Roosevelt oznajmił, iż w rozmowach z min. Edenem osiągnięto porozumienie w 95 procentach.

Brytyjski minister spraw zagranicznych zaznaczył dalej, że Stany Zjednoczone czynią wrażenie „młodszego, energicznego narodu, będącego całym sercem w walce i zdecydowanego pracować razem ze zjednoczonymi narodami w wojnie i pokoju”. Minister dodał, że zmienił swoje poglądy na prawdziwe uczucia Ameryki wobec tej wojny i okresu powojennego. „Wierzę — mówił — że możliwości otwarte przed nami są wielkie, ale i trudności są rozległejsze niż sądziłem poprzednio.” Minister byłby szczęśliwy, gdyby jego wizyta przyczyniła się do „pomyślnego rozwoju stosunków anglo-amerykańskich”.

Minister nie poruszył spraw sowieckich. Natomiast zapowiedział przyjazd do Anglii w lecie amerykańskiego sekretarza stanu Cordella Hulla, co powinno przyczynić się do dalszego tak pożądanego zacieśnienia stosunków między obu mocarstwami anglosaskimi. Po wyjeździe min. Edena z Ameryki rozpoczęły się tam rozmowy amerykańsko-sowieckie.

KONFERENCJA WSZYSTKICH PAŃSTW SOJUSZNICZYCH w Waszyngtonie w dniu 27 kwietnia będzie jednym z następstw wizyty Edena w Ameryce. Celem konferencji mają być sprawy żywnościowe. Być może jednak, że na zjeździe wyłonią się inne zagadnienia. W Ameryce opracowywane są projekty międzynarodowej stabilizacji pieniądza po wojnie w oparciu o wspólną instytucję kredytową. W Anglii z podobnym planem wystąpił znany ekonomista Keynes. Będzie rzeczą interesującą śledzić, jak poszczególne mocarstwa odniosą się do powyższych projektów i jak przyjmie je Moskwa, która dotychczas odcinała się od gospodarki światowej.

**PAMIĘTAJ
— O —
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.**

PRZED INWAZJĄ EUROPY

STRATEGIA TRANSPORTÓW

Problem transportów ma szczególnie wielkie znaczenie z punktu widzenia strategii wojennej sprzymierzonych.

Jest to istotnie zagadnienie tak wyjątkowej wagi, że warto poświęcić mu nieco więcej miejsca.

Na konferencji w Casablance inaugurowano, rzecz można, nowy rozdział w historii obecnej wojny: ustalono plany inwazji na Europę.

„Chodzi—jak powiedział Churchill—o zaatakowanie nieprzyjaciela na lądzie, morzu i w powietrzu w największej możliwie skali i w najszybszej możliwej chwili. Nie jest to jednak tak proste, jak brzmi. Zagadnienie polega na wprowadzeniu do akcji potężnych i rosnących wciąż sił Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych oraz na organizacji

ich zaopatrzenia i dostaw. Jest to przedsięwzięcie niesłychanie skomplikowane.”

Musimy sobie uzmystwić, że łączne terytorium Imperium Brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych wynosi około 50 milionów km kwadratowych, a zamieszkuje je z górą 650 milionów ludzi. Wykorzystanie tych ludzi i bogactw gospodarczych, rozrzuconych po całej niemal kuli ziemskiej, natrafia na ogromne trudności transportowe, które powiększa jeszcze akcja nieprzyjaciela na morzach. Toteż, w obecnym rozwoju sytuacji wojennej, gdy koło rozpędowe anglosaskiej produkcji nabrąto już pełnych obrotów i wyrzucha coraz to bardziej fantastyczne ilości samolotów, czołgów, armat i wszelakiego sprzętu i zaopatrzenia—zagadnienie

dostawy tych środków bojowych—niezależnie od przewozu wojsk—na rozmaite tereny wojny, niezmiernie od siebie oddalone, staje się z dniem każdym bardziej kapitalnym problemem strategii sprzymierzonych.

Bez żadnej przesady powiedzieć można, że „strategia transportów” dominuje dziś nad wszystkimi innymi problemami wojennymi aliantów. Rozwiązanie zagadnień, jakie z tego stanu rzeczy wypytują, wymaga—oprócz dysponowania potężną flotą wojenną i handlową—opasania niejako całego globu siecią zabezpieczonych przed atakami wroga szlaków morskich i powietrznych, które muszą być powiązane i wsparte potężnymi bazami na lądach stałych.

Rozumieją to doskonale Niemcy i w miarę rozwoju produkcji anglo-amerykańskiej coraz bardziej rozszerzają, lub usiłują rozszerzyć swą ofensywę przeciwko tonażowi morskemu i szlakom transportowym aliantów. Ostatnie zmiany przeprowadzone przez Hitlera w dowództwie floty niemieckiej i nacisk położony na wzniesienie działalności floty podwodnej są charakterystyczną ilustracją tych usiłowań. Z drugiej strony, położenie Niemiec z punktu widzenia dróg transportowych jest korzystniejsze od położenia sprzymierzonych i stanowi—jak dotychczas—jeden z głównych elementów ich siły. Rzecz jasna zajmuje bowiem, w odniesieniu do terenu walki, pozycję centralną i od chwili opanowania całego prawie kontynentu środkowo i zachodnio-europejskiego, korzysta z bezpiecznych i szybkich transportów lądowych oraz z położonych w bezpośrednim sąsiedztwie akcji—doskonalszych baz dla lotnictwa. Dzięki tej sytuacji Niemcy przetrzymać mogą swe wojska i siły powietrzne z niezwykłą łatwością z jednego teatru wojny na drugi.

W przeciwnieństwie do tej sytuacji, sprzymierzeni, operując na szlakach zewnętrznych, posługiwać się muszą—różnymi drogami—drogami okólnymi, które są o wiele dłuższe oraz trudniejsze do opanowania i powiązania, ale które dają im możliwość stopniowego okrążenia nieprzyjaciela, a następnie—po zdobyciu i zorganizowaniu baz wypadowych—wybór miejsc, czy miejsc, koncentrycznego uderzenia.

W sieci dróg tworzących system „strategii transportowej” sprzymierzonych kluczową pozycję zajmuje Morze Śródziemne.

Bezpośrednia droga wodna z Anglii do portów wschodnio-śroziemnomorskich wynosi mniej więcej 2.800 mil morskich, co się równa około 8 dniom podróży. Droga okrężna naokoło Afryki wynosi 11.500 mil i na jej przebycie potrzeba około 2 miesięcy! Zestawienie tych cyfr mówi samo za siebie.

Przypominamy sobie wszyscy, jak—po powstrzymaniu przez Brytyjczyków pod El Alamein, w lipcu zeszłego roku, niemieckiego „blitzu” na Egipt—premier Churchill zwracając uwagę opinii anglo-amerykańskiej na powagę sytuacji powiedział: „Nieprzyjaciel może przerzucić swe siły z Bengazi na front egipski w 3 dni; my na posiłki i sprzęt amerykański musimy czekać 3 miesiące”. Była to groźna sytuacja i opanowanie jej, a potem całkowite odwrócenie. Świadczy o tymże bojowej i organizacyjnej Brytyjczyków. Nie mniej, póki siły „osi” władają

jakimkolwiek odcinkiem północnego wybrzeża Afryki, a tym samym przecinają drogę śródziemnomorską, w systemie szlaków transportowych sprzymierzonych pozostaje luka, która nie pozwala na pełną swobodę w realizacji planów ataku na Niemcy. Całkowite wyparcie „osi” z Afryki Północnej i otwarcie dla żeglugi aliantów arterii śródziemnomorskiej, wzmacniając ją jednocześnie równoległą, niezmiernie cenną arterią lądową biegnącą wzdłuż północnych brzegów Afryki, od Casablanki do Aleksandrii, skróci niepomiarowo drogę dowozu ludzi i sprzętu, a jednocześnie spowoduje wydane zmniejszenie potężnego tonażu niezbędnego dla obsługi Bliskiego Wschodu i Rosji.

I tu leży główny sens kampanii libijsko-tunizyjskiej. Chodzi o zabezpieczenie dla flot angielskiej i amerykańskiej nowych punktów oparcia i to nie tylko baz, ale i rozległego i bezpiecznego zaplecza, niezbędnego dla poparcia działań floty wojennej w obecnej erze lotnictwa. Tu również pojawia się nowy czynnik w strategii dróg morskich: gdy dawniej wystarczała łańcuch odosobnionych punktów oparcia wzdłuż jakiegoś szlaku (np.—na szlaku śródziemnomorskim—Gibraltar, Malta, Cypr, Port Said), to obecnie dla utrzymania i ochrony tych szlaków niezbędne jest bliskie sąsiedztwo lądu, który by mógł stanowić dogodny teren dla akcji lotnictwa.

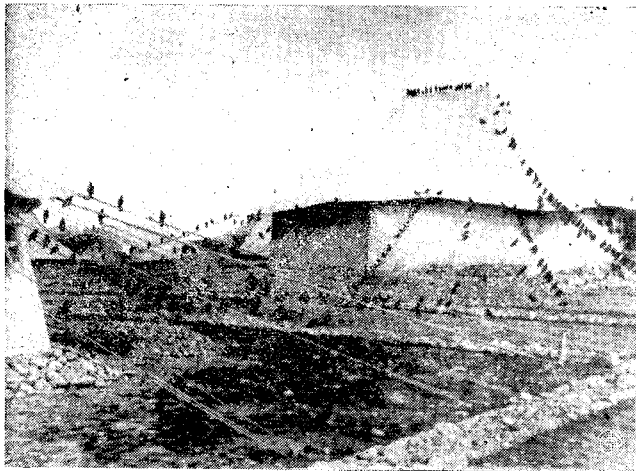
Z chwilą, gdy—dzięki całkowitemu opanowaniu tego zaplecza (tj. w danym przypadku lądu afrykańskiego)—bezpieczeństwo żeglugi sprzymierzonych na Morzu Śródziemnym zostanie zapewnione i otwarta zostanie najkrótsza droga komunikacyjna między centrami dyspozycyjnymi i produkcyjnymi aliantów, a rosyjskim i „środkowo-wschodnim” teatrem wojny—z tą chwilą sprzymierzeni osiągną ową tak pożądaną oszczędność czasu w transporcie zaopatrzenia i wojsk (wynoszącą około 50 dni!) i co więcej—oszczędność tonażu morskiego, która stanowić będzie niejako automatycznie wzrost sił militarnych Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Będzie to prawdziwa rewolucja w ogólnej sytuacji strategicznej.

Problem bezpieczeństwa szlaku śródziemnomorskiego posiada decydujące znaczenie dla całego dalszego biegu wojny. Droga ta, to dziś więcej niż żywna arteria Imperium Brytyjskiego: niepodzielne władanie nią jest konieczne dla przeprowadzenia koncentracji sił sprzymierzonych, celem podjęcia na szeroką skalę zakrojonej ofensywy przeciwko „osi”.

W chwili, gdy generałowie Eisenhower i Alexander wkroczą do Bizerty i Tunisu na gardle „osi” założona zostanie pętla „strategicznej blokady”, której stopniowe zaciskanie doprowadzić musi do zduszenia wroga, atakowanego ze wszystkich stron.

Tadeusz Szumański

SZPAK



Na próg płóciennej chaty,
Mały, skrzydlaty
Zawitał gość...

— „Szpak!...” — patrzcie: „szpak...”
Posypały się zewsząd słowa.
— Gość się nie boi — mala jego głowa
Strzela czarnymi dokoła oczkami,
Dziwuje się... — Tak?...
— Skąd się nas tyłu wzięło, skąd on między nami?...

* * *

... Kraj, są lipy w ogrodzie,
A wśród gałęzi zwartego kłębska
Jakaś pieśń dzwoni, jarzy się i błyska,
Jak strzały słowna tonącego w wodzie...
— To szpaki, rozszalałe w wiosennym swym śpiewie,
Z hymnem wiosnie pochwalnym, ukryły się w drzewie
I gwizdają...

* * *

— Powiedz mi mój szpaku: zali się ostały,
Lub legły pod siekierą, stare lipy moje;
— Powiedz, czy się ostał wśród lip domek mały,
Schron twojego szczęścia i dum moich roje,
Dziecięcych — zali się ostały,
Zali się ostały?...

— Wiosna idzie. Ze szpakiem ja do dom powrócę,
Nowe lipy zasadzę, gdy tamte spłonęły,
A w marszu, po drodze, bym mej wiary nuć:
Ze ONA i JEJ lipy JESZCZE NIE ZGINĘŁY!!!

Stefan Jankowicz

Walcząc
wygrywamy wojnę
Oszczędzając
budujemy pokój

ŻYCIE W MIEŚCIE UMARŁYCH

(Korespondencja własna „Orla Białego”)

Kair w kwietniu.

Wenecja ma kanały zamiast ulic, Nowy Jork — posąg Wolności i, Paryż — wieżę Eiffila, Rzym — Watykan, a Kair ma Miasto Umarłych. Jak do Piramid piętnastką, tak do tego jednego z najdziwniejszych cmentarzy świata dojechać można tramwajem, ale feralną trzynastką. Miąsowy kramy, w których zaopatruje się obsługa grobów, wchodzi się w opustoszałe ulice niczym nie różniące się od zwykłego miasta, tyle może, że bardziej czyste i ciche. Natomiast za ich fasadami i między posesjami kryją się właściwe groby i mogiły, gdzie snem wiecznym spoczywają zamężnicy obywateli stolicy.

Bogatsi mają jako grobowce małe pałace. Niektóre z tych domów, zaniedbane, zaczynają się rysować, lub nawet rozszypywać, inne, choć nieźle zakonserwowane, świecą brakiem dachu, okien lub drzwi. To Miasto Umarłych tylko w dni świąt żałobnych zaludnia się, niczym nasze cmentarze w zaduszki, tylko, że wierni pozostają w domach wystawionych swym krewnym przez kilka dni żyjąc pospolu z nimi, jakby nie dzielili ich już rzeka zapomnienia, która wg legend mitologicznych płynie między naszym i tamtym światem. Jest w tym wszystkim echo staroegipskich pojęć nieśmiertelności, które traktowały zaświaty jako dalszy ciąg życia doczesnego.

Przy zwiedzaniu tej osobliwości towarzyszył nam młody Junak, Michał, popularnie Misiem zwany. Zy wy chłopak, w żaden sp sób nie mógł się pogodzić z myślą wznoszenia umarłym zwykłych domów. Szukał więc wszędzie śladów życia, a gdzie wydało mu się go w miasto, sam dopełniał je własnym życiem. Zaglądał za każde drzwi lub okno, w każdy zaułek, wchodził na każde schody. I robił różne odkrycia. Tu znalazł nabożnego muzułmanina, utrzymującego ogień u grobu krewniaka, tam znowu dzieci grające w „klasy”, do których się zaraz na chwilę przyłączył, ówdzie na pięterku pielesze staruchy doglądające doniczek z zielenią wynajmowanych na pogrzeby do zdobienia mogił. Wreszcie zwerbował nam przewodnika w postaci małego Araba, dzięki któremu zobaczyliśmy więcej, niż mogliśmy marzyć.

Szukaliśmy grobowca Mameluków. On jednak widocznie inaczej zrozumiał nasze intencje, gdyż wyprowadził nas na kraniec cmentarzyska, gdzie wśród kamieniołomów znajduje się sadzawka, otoczona łazienkami. Myśleliśmy, że to miejsce rytualnych obmywań czy balsamowania umarłych, prototyp rzeki Styks, po której przepłynięciu przechodzi się do świata cieniów. Obskoczyła nas jednak obsługa łazienek i wetknęła do rąk prospekt w których „stało” jak byk, że to cu lotworcze źródło, które oprócz reumatyzmu, leczycy „krosty młodości, anemii, neurastenii i zapobiega wypadaniu włosów”. Wstęp z majteczkami kąpielowymi 6 p., bez — 4 p., dla studentów i sportowców (zatem pewnie i wojkowych) 3 p.

Misiowi w to graj. Zabrał nam paczkę faszowanych papierosów i częstując obsługę torował sobie i nam drogę do opustoszałego kąpieliska p. n. „Piscine de Ain Sira”, zaglądał do męskich i żeńskich kabin, próbował temperatury wody, przystępował do puszczania kaczek. Wobec

tego, że nie zamierzaliśmy zapobiegać wypadaniu włosów, namówiliśmy Misia do honorowego wycofania się przed ablucją w tym „familianbndzie”, gdzie otyła czarna postugaczka chciała mu już pozyćczyć własny kostium kąpielowy.

Zaintesowanie Mamelukami wreszcie przeważało. Gdy dowiedział się Misio, że Mameluk znaczy po arabsku niewolnik i o tym jak sultan w Kairze Malik Saleh w r. 1240 wpadł na pomysł stworzenia wojsk z zakupionych w Turcji i na Kaukazie niewolników, przeważnie Czerkiesów — z nieomylnym wędchem zaczął nas prowadzić ku grobowcom. Trzeba było jednak ciągnąć historię dalej. Jak to jeden z pierwszych oficerów tych dość niesfornych wojsk zabił sultana, pojął jego żonę i założył dynastie Mameluków, która panowała w Egipcie ok. 300 lat i przyczyniła się do założenia właściwego imperium islamskiego. Władzę i przepych gruntowali na łupieniu

bez miłosierdzia krajów, nad którymi panowali. Dopiero odkrycie na przełomie XV i XVI w. drogi z Europy do Indii przez przylądek Dobrej Nadziei odebrało dauny, jakimi okładali handel na drogach wiodących przez ich kraje. Potęga świeżo rozbudowanej artylerii tureckiej dokonała dzieła rozbijając resztki królestwa mamelukiego. Ze nie było to spokojne państwo, świadczy fakt, iż na 47 władców tylko 13 zmarło naturalną śmiercią. Nie ich groby zresztą miłośnicy oglądają.

Gdy po następnych 300 latach panowania otomańskiego w Egipcie zjawił się rówieśnik Napoleona, odnowiciel państwa faraonowego, Albańczyk w służbie tureckiej — Mohamed Ali, pierwszym przeciwnikiem, z którym się musiał rozprawić, była plaga Mameluków, zbiedniałej hałasty wojskowej żyjącej z grabieży, której samowola chyliła kraj do upadku. Na ten łakomy kąsek z rozpadającego się wówczas państwa

ottomańskiego, jakim był Egipt, apetyt mieli mieli zarówno Francuzi, jak i Anglicy. Po nieudanej wyprawie na Egipt Bonapartego w latach 1798 — 1801 i pozbyciu się Anglików, Mohamed Ali nie mógł przystąpić do rozbudowy silnego państwa nie rozprawivszy się z Mamelukami.

W kilku bitwach szczęśliwie ich pokonał, ale wobec dalszego spiskowania postanowił użyć fortelu, aby ich unicestwić. Pod pozorem uroczystego objęcia władzy przez syna Tusun Paszę nad wyprawą przeciwko Wahabitom w Arabii 1 marca 1811 r. Mohamed Ali zaprosił starszyznę mamelukową w sile 800 ludzi do cytadeli. Gdy stłoczyli się między dwoma murami, bramy kazał pozamykać i gości do nogi wyrzucił. Resztki rozbija doszczętnie pod Eshn.

Na cytadeli oglądać można do dziś to podwórce między bramami. Za jednym z wykuszów siedział wówczas Mohamed Ali spokojnie na dywanie, pałł nargile, przebiegał palcami wschodni różaniec i przyglądał się dokładnej robocie zaufanej straży. Tak stał się władcą Egiptu i założycielem obecnej dynastii. Dziś wszystko to należy do historii. Na szczycie cytadeli kairskiej, w wzorowanym na Aja Sofia wielkim meczecie alabastrowym, odnawiany jest od roku grobowiec Mohameda Ali. W Mieście Umarłych zaś obok meczetu Imama el Szafi stoją groby jakby pogodzonych z sobą Mameluków i najbliższej rodziny, żony, synów i wnuków Mohameda Ali. Dzieli ich tylko gruba krata bronzowa. Różni przepych grobowców.

Grobowce Mameluków są jakby z prostego wapna. Są to groby zbiorowe. U stóp i głów każdego po tuzinie tablic i słupków z turbanami. Groby książąt z rodziny królewskiej okazałe, marmurowe, bogato barwione, rzeźbione, złocone. Zwłaszcza bogata jest jedna kaplica grobowa, cała z marmuru, a każda płyta o innym słoju i kolorze. Plafon złoty. Pająki lamp wymyślne. O jednym z grobowców podanie mówi, że kosztował 40 kilka tys. f. a rzeźbił go artysta przez 7 lat. Po skończeniu pracy odcięto twórcę rękę, aby nie dokonał już równego mu dzieła. Stary dozorca grobów nie dawał jednak głowy za prawdziwość tej legendy, O-ski

NAMIOT Z KANADY

I. nagroda na konkursie „Orla Białego”

Mój namiot rozbito w pustyni

Na wzgórzu, dostrzeżesz z oddali:

Wsparty o prężność linek,

O giętkość trzech mocnych pali.

Utkania nocą w Ottawie,

Przypłynął cicho, jak ponton:

A zszywał go stary krawiec

W żywicy pachnącem Toronto.

Tworzy go sznurów prostota,

Lecz motyw najbardziej prosty:

Linia — uклада się w gotyk,

A stopa i mora w akrostych.

O świecie — biały, jak mleko,

W południe — kremowo - żółty,

Ze zmierzchem ulata daleko

I staje się szarym punktem.

Pół bocznych wklęśnięcie opada

Od wcięć łagodnych na szczycie

A wszystko podstawa kwadrat

Ujmuje — z żągla przykryciem.

Kąt za nim, czarny w ciemni,

Mroczny, gdy nie ma słońca,

Kryje tysiące tajemnic:

Jest strychem małego chłopca.

Mieszka tam kilka skorpionów,

Zasytych w kamienne łoża,

CZYŚ ZABEZPIECZYŁ SWOJE
PIENIĄDZE PRZED ZAGU-
BIENIEM LUB KRADZIEŻĄ?—
UCZYNI SZ TO SKŁADAJĄC
JE W FORMIE OSZCZĘD-

NOŚCI.

Cała rodzina stonóg,

Jaszczurka, żmija i węże.

Raz tylko, wieczorną godziną,

Za kanadyjskim żaglem

Wyrosła pachnąca choinka

I śnieg całunem zaległ.

Lecz znikł, kiedy dzienna pora

Wstała wśród kołed i dzwonów,

A wewnątrz była, jak wczoraj...

Nie było tylko skorpionów.

Namiotów jest tyle, tysięcy!

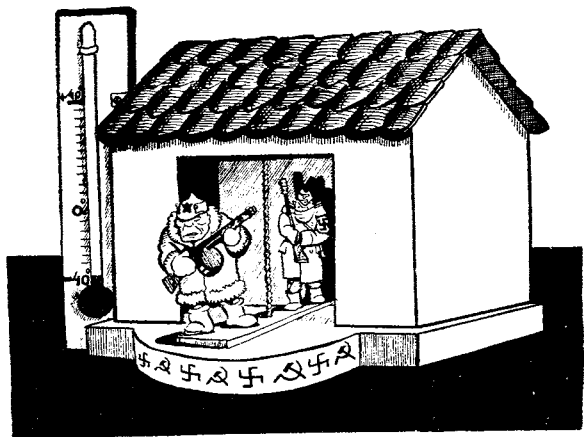
Przed każdym schodek i ścieżka

A przecież poznam i w nocy,

Który jest mój, w którym mieszkam.

Artur Międzyrzecki

SYTUACJA NA FRONCIE WSCHODNIM



Barometr wojenny

DWIE ROZMOWY

Nie bawiąc się nawet w proroka — czego zresztą bardzo nie lubi nasz redaktor — stwierdzić można bez większego ryzyka, że wojna zbliża się do granic Europy. Świadczy o tym znaki na ziemi i w eterze, a najwymowniej — komunikaty z tuniskiego frontu. W niemieckim „blokhaucie europejskim” robi się wyraźnie gorąco i nieswojo. Słabsze ściany są pośpiesznie remontowane i wzmacniane, zatyka się jedne dziury kosztem innych. Jednocześnie w sposób bardzo niepokojący dla Włochów wzrosło na całym świecie zainteresowanie ich ojczyzną. Amerykanie z wielką przyjemnością rozpocząłby „europejską turystykę wojenną” właśnie od Rivieri włoskiej.

W tych warunkach bardzo ciekawa jest dla nas każda informacja o kondycji fizycznej i psychicznej włoskiego cywila i żołnierza.

Kilka dni temu, zupełnie zresztą przypadkowo, udało mi się przeprowadzić dwie rozmowy, które może nie tyle rozszerzają nasz zasób wiadomości o Włoszech, ile wyraźnie potwierdzają posiadaną przez nas ocenę sytuacji na Półwyspie Apenińskim.

Pierwszym moim rozmówcą był Szwajcar, który trzy tygodnie temu spacerował po ulicach Mediolanu, a teraz w wyprawie na Wschód zachaczył o Bagdad, drugim — Włoch, kapelan w stopniu porucznika z dywizji spadochronowej Fulgore, wzięty do niewoli pod El Alamein. Nazwiska obu, ze względów zrozumiałych, nie mogę ujawnić, zapewniam jednak czytelnika, że wiernie streszczę ich relacje niczego nie ukrywając, a w każdym razie niczego nie dodając.

Szwajcarka poznałem podczas wystawy fotograficznej Armii Polskiej na Wschodzie w Bagdadzie. Banalna rozmowa o pogodzie i pustyni ożywiła się z miejsca przy fotografiach z naszego pobytu w Rosji. Szybko przeskokczyliśmy na tematy polskie i polityczne. Z nie udawaną życzliwością opowiadał o swych znajomych Polakach, internowanych żołnierzach gen. Prugar-Kettlinga, o serdecznym stosunku ludności szwajcarskiej do naszych kolegów.

Mój rozmówca chętnie mówił i uważnie słuchał. Szczególnie zajmowały go nasze przeżycia z ostatnich dwu lat. Fakt, że kiedyś piastował stanowisko inspektora pracy, usprawiedliwiał drobniaczkowe zainteresowanie systemem pracy w obozach sowieckich. Nie popełnił chyba nietaktu w stosunku do naszych b. gospodarzy jeśli zaznaczył, że bardzo chętnie służyłem informacjami w tym zakresie. Na tym zakończyła się pierwsza część naszej rozmowy, w której ja opowiadałem a on słuchał, a w konsekwencji której polityk szwajcarski sformułował szereg niezwykle trafnych uwag o sowieckim wymiarze sprawiedliwości i niechęci obywatela szwajcarskiego do zbyt nowoczesnej instytucji sądów zaocznych, nieznanych dotąd w bardziej zacofanych społeczeństwach Europy zachodniej.

Kiedy usiedliśmy na kanapie, rozmowa nasza przeszła na sprawy bieżące.

— Trzy tygodnie temu, przed wyjazdem na Wschód, byłem w Mediolanie — mówi Szwajcar.

— Jak tam wygląda?

— Miasto bardzo ucierpiało na skutek bombardowania lotnictwa brytyjskiego. Centrum, katedra stoi. Natomiast cały pas przedmieść fabrycznych leży dosłownie w gruzach.

— A jakie są nastroje ludności w stosunku do Niemców? — pytam dalej.

— Niezwykle wrogie. Włosi uważają ich za przyczynę wszelakiego zła. Nie ukrywają bynajmniej swych antypatii. Manifestują swe uczucia przy każdej sposobności. Widziałem sam, jak kobiety włoskie pluły w stronę Niemców. O hitlerowcach nie mówi się nigdy bez pewnych przymiotników, w które język włoski jest szczególnie bogaty. Ostatnie sukcesy sprzymierzonych w Afryce północnej poderwały całkowicie wiarę w możliwość zwycięstwa — ciągnie Szwajcar.

— Dlaczego nie wybuchła rewolucja?

— Dlaczego nie wybuchła rewolucja, pyta pan — powtarza pytanie. — Dlatego, że Włochy są okupowane, widzi się tam więcej żołnierzy niemieckich niż n. p. we Francji. Włochami rządzi Gestapo, a to jest doskonała organizacja.

— Czy inne miasta włoskie również ucierpiały na skutek natotów? — pytam dalej.

— Bardzo — zwłaszcza Genua, która bez przesady prawie cała jest zniszczona i całkowicie prawie ewakuowana z ludności. Również Turyn i Neapol mocno odczuły bomby brytyjskie. Tak. Nie wesoło jest teraz pod lazurowym niebem Italii.

Rozmowa nasza kończy się. Przerwywa ją miła piosenka p. Jasińskiej, która tego dnia była atrakcją wystawy.

Z ojcem Giovanni rozmawiałem na krążanku klasztornym w Bagdadzie. Mówił cicho i smutnie, a kiedy opowiadał jak ginęli jego chłopcy, kwiat młodzieży włoskiej, spadochroniarze, pod El Alamein, miał łzy w oczach.

Dziwnie brzmiały włoskie słowa tu, w sercu Bagdadu, trzy minuty od ulicy Al Raszid, dziwnie zestrzelały się z architekturą tego konwentu, trochę włoską, z ciszą w podcieniach dziedzińca tak, że przez chwilę uległem złudzeniu, że znajduję się gdzieś w Wenecji lub Florencji.

Dołączają się do nas ksiądz z Malty. Włosi od dawien dawna roszczą sobie, jak wiadomo, pretensje do tej wyspy, uważają jej mieszkańców za Włochów. Ksiądz naturalnie mówi płynnie po włosku.

— Kiedy Włochy walczyły w Abisynii sympatie nasze były po stronie Włoch — mówi ojciec Maltańczyk. Kiedy dywizje włoskie były się w Hiszpanii, cieszyliśmy się z ich zwycięstw. Teraz jednak potępiamy rząd włoski, uważamy, że żołnierz włoski walczy za niesłuszną sprawę.

— Naród włoski nie jest winien. Odpowiedzialni za całą katastrofę są faszyzm i Mussolini. A faszyzm to czarna odmiana bolszewizmu — odpowiada ojciec Giovanni. Mussolini przystąpił do wojny, by w ten sposób uratować swe stanowisko — dodaje.

Ksiądz Maltańczyk z prawdziwym zapałem opowiada o dzielnej postawie swych rodaków. Kiedy wojna rozpoczęła się, Malty broniły trzy samoloty. Ale nigdy nie opuszczają nas wiara w zwycięstwo — mówi... Z każdego słowa przebiega duma. Bez reszty czuje się Brytyjczykiem.

— Czytałem dziś w gazecie — ciągnie dalej — że w Tunisie Niemcy strzelali do Włochów.

— Nie po raz pierwszy — zapala się padre Giovanni. Do nas również strzelali pod El Alamein. I opowiada

o tej najstraszniejszej z bitew obecnej wojny w Afryce.

„Kiedy VIII armia ruszyła do ataku, dywizje naszą z odwodów rzucono do akcji. Przez 24 godziny przesłaliśmy straszne bombardowanie lotnicze i obstrzał artyleryjski. Romel wydał rozkaz — ani kroku do tyłu. Następnego dnia nadszedł nowy rozkaz, podobno od samego Hitlera, wycofania się. Coferaliśmy się kilkanaście kilometrów na nowe pozycje. Dywizja nasza, licząca początkowo 6000 ludzi, poniosła olbrzymie straty. Żołnierze byli całkowicie zdemoralizowani straszliwą przewagą lotnictwa brytyjskiego. Kilka godzin później nastąpiło przełamanie frontu, i odwrot. Niemcy zabrali nam wszystkie samochody i zostawili nas na pastwę losu. Razem z dowódcą naszej dywizji generałem Frattini dostaliśmy się do niewol.”

Następnie padre opowiada o nastrojach swych rodaków. We Włoszech był ostatni raz w połowie 42 roku.

— Mussolini stracił całkowicie popularność — stwierdza padre. Ludność czuje również pewien żal do rodziny królewskiej, że nie występuje zdecydowanie przeciw faszyzmowi. Po upadku reżimu, zdaniem księdza kapelana, władzę przejmie Akcja Katolicka albo partia chrześcijańsko-ludowa, rozwijająca energiczną działalność podziemną.

Marszałek Badoglio — ciągnie dalej padre — przystąpił do rewolu-

cji. Sam na własne oczy widziałem ulotki podpisane przez marszałka. Byłem wtedy w mej rodzinnej Wenecji, ktoś jednak zdradził spisek i w dzień przewidzianego wybuchu rewolucji wojska niemieckie wkroczyły do Włoch. Gestapo całkowicie przejęło władzę w swe ręce. Przeżyliśmy tragiczne czasy — dodaje po chwili. Ale wojnę tę musieliśmy przegrać, bo naród nasz jej nie czuł, to nie była jego wojna.

Ostatnie słowa podchwytuje ksiądz Maltańczyk. Znam naród — mówi — miękko i śpiewnie — który te wojny czuje i ją wygra. Synowie tego narodu nie załamali się po pierwszej klęsce, tysiącami szli przez granice do nowo organizującej się armii, cierpieli w więzieniach, walczyli w Norwegii, Libii, nad wyspami brytyjskimi. Spotkałem niedawno w Palestynie jednego z nich, ma wszystkie 16 lat, jedynym jego marzeniem jest dostać karabin i walczyć.

Wielu to o nas mówiło, muszę jednak przyznać, że słowa te, może już dla nas trochę banalne i żenujące, w ustach obcego a jednak tak bliskiego człowieka głęboko mnie wzruszyły. Rozmowa nasza kończy się.

Powoli zapada noc nad Bagdadem. Ciemno robi się na krążanku i dziedzińcu. Jest chwila, gdy jedynym światłem jest rozświetlone niebo, przetrkane tej nocą turkusami i ruhnikami świateł samolotowych. Bo tego dnia R.A.F. obchodził swój jubileusz. Wojna przypomina nam się zawsze i wszędzie.

Zdzisław Baur

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wszystkim Czytelnikom, którzy przez dyskreję nie nawymyślali autorowi „Odpowiedzi” po przeczytaniu poprzedniego numeru: oczywiście, zamiast zamierzonego asnykowskiego „Trzeba z żywym napród iść” spadło mi z pióra zgola kompromitujać „Niech żywi nie tracą nadziei” z „Testamentu” Słowackiego. Wstydy się bardzo.

Plut. Stanisław B-r. Adresu p. Ryszarda Kiernowskiego nie udało nam się dotąd uzyskać, ale może Pan adresować do redakcji „Polski Walczący”: London W. C. 2., 5, Portugal St., I fl.

Pchor. Józef W-ak. P. Roman Fengler znajduje się w Londynie jako członek Rady Narodowej.

Sindbad. Dziękujemy za „Malarie”. Ciekawie się czyta, ale na końcu sprawa rozczarowanie, bo właśnie czytelnik chciałby na ten temat poza literaturą i wezwaniem do dyscypliny bez komentarzy dowiedzieć się czegoś praktycznego. Zwracaliśmy się już do paru lekarzy o tak potrzebne artykuły z dziedziny higieny w odniesieniu do tutejszych warunków — obiecywali, ale nie napisali. Nie tracimy nadziei, że w X. roku wojny...

Aleksander Z-ski. Dziękujemy za dalszy ciąg Legii. Zamieszanie załóżce będzie od miejsca. „Most” przesłał nam według Pańskiego życzenia.

Uwaga!

W najbliższych dniach nadejdzie do oddziałów pierwszy numer polskiego dwutygodnika „Parada”.

Wydawnictwo Wyzd. Inf. i Ośw. A.P.W.

Czytajcie „Paradę”.

R. K. Dziękujemy za otrzymane wiersze. „Ląbedzia pieśń” wydała nam się ciekawsza od „Tęsknoty”, ale nie w całości wytrzymana.

Ppor. E. L. H. Dziękujemy za wiersze, na pewno nie bez wartości, ale drobne usterki rytmiki w regularnych pozornie strofach robią wrażenie dysonansów.

Strz. Stan. K. Dziękujemy za miły list i nadesłane wiersze. Odpowiadamy szczerze: skoro odczuwa Pan rzeczywistą potrzebę napisania wiersza, to nie ma powodu sobie tego odmawiać, ale forma sporo jeszcze pozostawia do życzenia. Nie możemy na podstawie tej próbki rozstrzygnąć, jakie wyniki dałyby nakład systematycznej pracy. Natomiast lekkość listu pozwalała posadzać Pana o zdolności do prozy. Może warto spróbować?

Mgr Eugeniusz Cz. Dziękujemy za artykuł. Temat bardzo ciekawy, ale ujęcie dla nas za dalekie od publicystyki.

R. Ch-ski. Dziękujemy za wiersze, z których „Czarny pionek” bardziej trafia nam do przekonania, ale w rytmice są usterki: proszę porównać np. akcentowanie drugich linijek wszystkich czterech strofok.

U. W. Dziękujemy za artykuł, z którego jednak nie skorzystamy: objąć tak szeroki temat można tylko przy ujęciu syntetycznym, jeżeli to ma być artykuł, a nie fragment podręcznika.

Strz. Janusz Gr. Dziękujemy za artykuł — bardzo słuszny. To trudne zagadnienie mamy właśnie nas warsztacie w nieco szerszej płaszczyźnie i być może, będziemy mogli także głos Pański pomieścić.

Tadeusz B-ski. Dziękujemy za wiersz „Zmartwychwstanie”, który wskazuje nam nie odpowiada.